

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 13 sierpnia 1950 r.

Nr 32 (246)

Janusz ZABŁOCKI (Karol Zajcniwski)

SĄD NAD PÉGUY

Pięćdziesięciolecie powstania „Cahiers de la Quinzaine“, które upłynęło w styczniu roku bieżącego, dostarczyło sposobności we Francji do odświeżenia w pamięci postaci założyciela i redaktora tego pisma Karola Péguy i jego twórczości literackiej. Obok licznych publikacji w prasie, utrzymanych w tonie mniej lub więcej panegirycznym znalazły się również głosy oceniające „dorobek Péguy krytycznie, a nawet stawiające mu poważne zarzuty. Do takich głosów należy dyskusja na łamach lewicowego tygodnika „Action“ między dwoma publicystami tego pisma, J. M. Gerbault i Pierre Debray¹⁾.

„Oskarżony Péguy, czy uznajecie się winnym przestępstwa zdrady waszej młodości?“ — zapytuje ustami Debray'a fikcyjny przewodniczący trybunału historii. Obaj dyktanci mają za zadanie dostarczenie materiału dowodowego, przy czym Gerbault występuje w roli oskarżyciela, zaś Debray — byłego współpracownika „Temoignage Chrétien“ — obrońcy z urzędu. Postawa tego ostatniego jest jednak dość specyficzna.

Oto Debray, od początku oświadczając, że jego rola jest niewdzięczna, szuka tylko „okoliczności łagodzących“. Ponieważ tego rodzaju taktyka wydaje nam się nie zawsze wystarczająca, nie ograniczymy się tylko do referowania dyskusji, ale pozwolimy sobie opatrzyć ją własnym komentarzem.

SOCJALIZM I SPRAWA DREYFUSA

Zarzuty Gerbault nie są bynajmniej oryginalne ani nowe. Tym ciekawsze będzie jednak zapoznanie się z nimi. Pierwszym jest zakwestionowanie samego socjalizmu Péguy. „Bądźmy pewni — pisze zgryźliwie Gerbault — głoszony przezeń socjalizm zawdzięcza znacznie więcej komentarzom kapelana Sainte-Barbe²⁾, księdza Batiffol, do encykliki „Rerum Novarum“ niż wpływowi marksizmu, na który umysł Péguy pozostał zawsze nieczuły“. Otóż co do tego nie ma wątpliwości. Można również zgodzić się w wielkim stopniu z Debray'em, że Péguy „potępiał świat pieniądza, ale w imię dawnych, dobrych czasów“. Istotnie postawa, jaką zajmuje Péguy w swojej krytyce „świata nowoczesnego“ — czy to oskarżając maszynę czy to ubolewając nad przekształceniem się tradycyjnego „ludu“ w proletariatus „maszyny“, nosi wiele cech krótki burżuazji nie w imię proletariatu robotniczego, ale w imię

tradycji ginącego patriarchalizmu i ustroju stanowo- cechowego. Nie można wprawdzie mówić o wsteczności Péguy; wszakże głosił budowę nowego społeczeństwa, a nie powrót do starego. Ale nie można również zaprzeczyć faktom, że w swojej utopijnej „Cité harmonieuse“ zawarł mimo bardzo egalitarnych założeń pewne sympatie do dawnych, dobrych czasów.

Podobne zarzuty dotyczą udziału Péguy w sprawie Dreyfusa. „Dreyfusizm Péguy — pisze Debray — budzi podejrzenie. To nie jest dreyfusizm naprawdę świadomy, który się stroi w uzasadnienia metafizyczne. Péguy jest dreyfusarzem, ponieważ jest to dla niego środek równie dobry jak każdy inny, aby trzymać nogi w powietrzu“.

Ta teza urzędowego obrońcy Péguy budzi z kolei pewne podejrzenia z naszej strony. Wydaje nam się, że w sprawie takiej jak sprawa Dreyfusa, gdzie chodziło o uwolnienie niewinnie skazanego i uwięzionego człowieka każdy głos w jego obronie był jednakowo cenny i godny uznania, bez względu na to jakie przesłanki metafizyczne czy też „lukowe“ go powodowały. Dla sprawy Dreyfusa było zgoła drugorzędne w jakie uzasadnienia stroili się jego obrońcy; podobnie jak dziś — żeby zaktualizować problem — jest zupełnie obojętne jakimi przesłankami metafizycznymi, czy też innymi uzasadniają swoje stanowisko obrońcy pokoju. Istota zagadnienia leży natomiast gdzie indziej; chodzi o to, aby z tych przesłanek światopoglądowych, wy dobyć maximum energii potrzebnej do działania i umiejętności realistycznej oceny środków. Ze zwolennikiem „uzasadnień metafizycznych“ nie zawsze udawało się tę skuteczność osiągnąć, świadczy to źle nie o ich światopoglądzie, ale o nich samych. Jeżeli istotnie Péguy w sprawie Dreyfusa „trzymał nogi w powietrzu“ to nie musiało być winą jego uzasadnień metafizycznych, ale jego osobistej nieumiejętności wprowadzenie tych uzasadnień w czyn. Dopiero z tą poprawką możemy przejść do dalszych wywodów Debray'a: „A gdy te pozycje stają się niewygodne, Péguy zwraca się przeciw dreyfusardom naprawdę konsekwentnym jak Jaurès. Ponieważ Jaurès nie poprzestawał na obronie sprawiedliwości absolutnej, ponieważ chciał demaskować nosicieli niesprawiedliwości, Péguy się buntuje. Wynajduje to słynne przeciwstawienie mistyki i polityki, które wyrządzi tyle szkody młodym chrześcijanom: „Toute mystique se dégrade fatalement en politique“. Te sformułowania Debray'a, aczkolwiek nacechowane przesadą, odpowiadają na ogół rzeczywistości. Istotnie, słynna teza Péguy o przeciwstawieniu mistyki i polityce, względnie — stosując terminy uży-

te przez nas uprzednio — „uzasadnień metafizycznych“ „postawie praktycznej“, wykonywała między ideałem a jego realizacją przepaść nie do przebycia. „Zastosujmy to wspaniałe przeciwstawienie do sytuacji współczesnej — pisze dalej Debray. — Oznacza ono po prostu postawę tych pacyfistów wszelkich odcieni, którzy potępiają wojnę (to jest bowiem „mystyka“), ale którzy bynajmniej nie uznają za stosowne zdemaskować tych, którzy ją przygotowują, a tym mniej walczyć przeciw nim (gdź to byłoby już „polityka“).

Jakie jest tło powstania u Péguy tej postawy oderwania „mystyki“ od „polityki“? Może dostarczy ono jakichś okoliczności łagodzących? Ponieważ nie widać w tym kierunku wysiłków Debray'a, podejmiemy je sami.

Przełom XIX i XX w. jest we Francji okresem nowej taktyki, jaką stosuje burżuazja francuska w walce z rosnącym ruchem robotniczym. Z chwilą gdy zdławienie tego ruchu staje się niemożliwe, mieszczaństwo ucieka się do innej taktyki, wypróbowanej przez burżuazję angielską ćwierć wieku wcześniej: należało go „oswoić“. Chodzi o to, by rozbroić ruch robotniczy przez wchłonięcie i związanie z burżuazyjnym ustrojem jego przywódców. Podobnie jak w Anglii torysi kokietowali sekretarzy związkowych i robotniczych przedstawicieli w parlamencie, nadając im stanowiska sędziów pokoju i funkcje tytułarne, podobnie zabrała się do dzieła burżuazja we Francji. W 1899 r. jeden z przywódców prawicowych socjalistów francuskich Millerand, otrzymuje po raz pierwszy w dziejach tego kraju — tekę ministra handlu w burżuazyjnym rządzie Waldeck — Rousseau. Zdarzenie to wywołało oburzenie wewnątrz ruchu, jednakże oburzenie to przyćmiło dość szybko. Sprawa Milleranda stała się precedensem na przyszłość; odtąd socjaliści francuscy już nie tylko zasiadali w parlamencie, ale uczestniczyli, zupełnie tak samo jak partie mieszczańskie, w rozgrywkach o obsadzenie tek ministerialnych. Równocześnie jednak należało utrzymywać łączność z masami robotniczymi, które stanowiły niezbędny czynnik powodzenia w czasie wyborów. Do tego trzeba było uzasadnić swoje stanowisko teoretycznie, w miarę możliwości operując dotychczasową socjalistyczną terminologią. Tak praktyczny oportunizm znajduje wyraz teoretyczny w rozlicznych kierunkach „rewizjonistycznych“, które rodzą się jak grzyby po deszczu w epoce II Międzynarodówki. Sprawa Dreyfusa dostarczyła jeszcze jednej sposobności wielu ambitnym krzykaczom, aby — przedstawiwszy się w roli ludzi, którzy mogą być groźni dla burżuazji — stać się przedmio-



Obraz Matki Boskiej z Białej pod Warszawą

Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny

ANGELI SŁODKO ŚPIEWALI
A BARZO SIĘ RADOWALI,
GDY MARYJA W NIEBO WZIĘTA,
ŚWIĘCILI ANGELI ŚWIĘTA.

ARCHANGELI I ANGELI
WZJAWIALI JEJ TAJEMNOŚCI,
GDY MARYJĄ PROWADZILI,
A NOWE PIENIE ŚPIEWALI.

POTESTACI A SKROMLIWI
OD DIABŁEJ MOCY BRONILI,
CI SZATANY ODPĘDZILI,
GDY MARYJĄ PROWADZILI.

(ze średniowiecznej poezji maryjnej).

tem korzystnych ofert politycznych z jej strony. Korupcja i oportunizm, na które stawiła burżuazja jako na środek rozbrojenia ruchu robotniczego, przeciekają szerokimi strumieniami w socjalizm francuski. W taką to sytuację wchodzi młody Karol Péguy, który dla służby socjalizmowi porzucił studia i perspektywy pracy naukowej. Wybuch jego rozgoryczenia jest chyba zrozumiałym. Jakkolwiek można zarzucić Péguy nieumiejętność przejścia od idei do czynu, nie można mu w żaden sposób odmówić czego innego: szczerego i głębokiego „misytycznego“ przeżycia swoiście poj-

manego socjalizmu. Takiego przeżycia socjalizmu nie widział u oportunistycznych jego przywódców. Gwałtowne i niekiedy nawet niesprawiedliwe napaści na socjalistów parlamentarnych, nieufność do polityków — wszystko to wypływało z podejrzeń Péguy, że nie służą oni socjalizmowi, ale w mniejszym lub większym stopniu własnemu dążeniu do stania się burżujem. Na tym tle zrozumiał się cały jego namiętny protest, który — słuszny gdyby głosił tylko podbudowanie postawy politycznej „mystyka“ — staje się niesłuszny, a nawet szkodliwym (dokonanie na str. 3)

¹⁾ „Action“, 27 marzec — 2 kwietnia 1950.

²⁾ College Sainte-Barbe, gdzie uczęszczał Péguy w r. 1893/4 bezpośrednio przed wstąpieniem na oaryską Ecole Normale.

BYŁ to już czwarty wypadek w tym roku.

Józef Hugacz, kierownik Spółdzielni w Lipowej, postanowił zawiadomić władze

Dotychczas ginęły tylko drobne przedmioty z działu spożywczego: dwukilowa torba cukru, paczka herbaty, kawałki mydła, wianek grzybów itp. Gdyby Janek Bocian, sprzedawca w dziale spożywczym, w ciągu czterech lat pracy nie wykazał pedantycznej wprost dokładności w obsłudze klientów, Hugacz mógłby myśleć, że chłopak po prostu pomylił się i wydał komuś za dużo towaru. A na pewno znaleźliby się ludzie gotowi skorzystać z chwilowej nieuwagi subiekta.

Jednak postępowanie Janka cechowało zawsze głęboki spokój i przejęcie się spełnianą w danej chwili czynnością. Hugacz patrząc na niego, jak waży lub odlicza towar, — myślał, że widział, jak z tym samym skupieniem zapalał lont materiału wybuchowego pod mostem kolejowym i strzelał z automatu. Takie samo przejęcie maluje się na twarzy Janka, kiedy w wolnej chwili chwytą za książkę i przygotowuje się do matury. Pod względem uczciwości zaś Hugacz wierzył Janekowi równie silnie, jak wierzył samemu sobie.

Pozostawała Helena, ekspedientka w dziale tekstylno-wiókienniczym. Hugacz i Janek nie lubili Heleny. Mieli jej za złe początkowo niechętnie ustosunkowanie się do konieczności wspaniałego sprzątnięcia lokalu Spółdzielni. „Od tego są sprzątaczkę! — powiedziała.

„Dama z pazurami!“ — wyzywał Janek, wymachując trzymaną właśnie w rękę ścierką, którą zmywał podłogę. — Przychodzi „toto“ do gotowego, ma tylko stanąć za ladą i sprzedawać, raz na dzień zamieść i wytrzeć kurze i raz na tydzień umyć podłogę! I to jej się „zi za dużo! Niech by zastała na początek taki majdan jak my, prawda panie plutonowy?“

Nazywał go niekiedy plutonowym, jak niegdyś w partyzance. Hugacz skinął głową bez słowa. Co tu było wiele gadać? Obaj dobrze pamiętali tamte czasy! Zrujnowany, ziejący pustką lokal po dawnej karczynie, brak ludzi, sprzętu i pieniędzy, uśmieški we wsi i nieufność w Centrali.

„Sieć Spółdzielni nie uwzględniła Lipowej. Zorganizujcie, przygotujcie jak chcecie, a potem może... zobaczymy.“

To było w roku 1945. Obecnie ten sam ostrożny kierownik Centrali lubi w nieniac Lipową jako jedną z najlepiej prowadzonych placówek

„Teraz kiedy mamy taki komfort, potrzeba nam tylko parę Heleny i sprzątaczek!“

Hugacz w duchu myślał to samo, co mówił Janek. Jednak zaangażował Helenę.

Pomimo początkowych „pańskich tłumów“ okazała się pilną i sumienną pracownicą, tylko pracę swą traktowała wyłącznie jako życiowo-materiałną konieczność, czego nie mogli pojąć tacy ludzie, jak Hugacz i Janek, pochłonięci bez reszty ideą spółdzielczości na wsi.

Zresztą Hugacz nie miał żadnych powodów do skierowania podejrzenia na Helenę i nie było w tym wcale tego winy, że śledztwo zwróciło szczególną uwagę na jej właśnie osobę. Ostatecznie kradzież wydarzyła się w dziale Heleny, to był ważny moment obciążający. Wprawdzie Janek zeznał lojalnie o stratach w dziale spożywczym, ale nie wzięto pod uwagę tych drobnych braków. Tym razem uległa kradzieży niedawno

sprowadzona z Centrali biała flanelka i strata sięgała nie setek, lecz tysięcy złotych. Strata tym przykrzejszą, że stosunkowo trudno do zdobycia flanelka na wyprawki niemowlęce była z niecierpliwością oczekiwaną przez młode matki z Lipowej.

„Ostatni raz sprzedalam z niej nieć metrów, — zapłakana Helena pokazuje kwit kasowy — było to około dwunastej. Potem kiedy po przerwie obiadowej Marcynowa zażądała flaneli, nie było już jej na półkach.“

Członkowie komisji śledczej, przedstawiciele Centrali Spółdzielni i Milicji Obywatelskiej oglądają dokładnie cały lokal Spółdzielni. Jest to dosyć nieskomplikowana „wizja lokalna“, gdyż cała Spółdzielnia lipowska to jedna wielka sala z dwiema ładami naprzeciw siebie. Wchodzi się do niej przez niewielki ganek i wąską sionkę zamykaną żelazną żaluzją. Z izby sklepowej kilka schodków prowadzi do pokoju, gdzie urzęduje kierownik Hugacz. Innego wyjścia brak.

Ten szczegół był specjalnie brany pod uwagę przez członków śledstwa. Ustalono, że wykluczonym jest, aby w czasie godzin otwarcia sklepu ktoś z klientów mógł niezauważony wynieść belę. Zgodzono się, że mógłby to uczynić tylko w czasie przerwy obiadowej, lecz wtedy żelazna żaluzja była opuszczona, a kierownik Hugacz przez cały czas przerwy obiadowej pracował nad buchalterią i żadnych podejrzanych hałasów nie słyszał.

Jedyną osobą dla której podniesiono żaluzję była żona Hugacza, która jak zwykle przyniosła mu obiad. Hugacz osobiście wpuszczał żonę do Spółdzielni i przypomina sobie dokładnie, że natychmiast z powrotem zasunął żaluzję za wchodzącą. Kiedy wracała była już trzecia godzina i pracownicy czekali przed domem. Janek Bocian i Helena zeznali zgodnie, że Hugaczowa nie miała w ręku nic poza małymi menażkami w których nosiła obiady mężowi.

Janek ucieszył się, że byli świadkowie odejścia Anieli w ten krytyczny dzień i dzięki temu konieczność wezięcia jej do śledstwa odpadła. Był zadowolony z tego tym bardziej, że znał wrażliwość Anieli, która ostatnimi czasy coraz trudniej dawała sobie radę ze wspomnieniami swych ciężkich wojennych przeżyć.

Śledztwo nie dało żadnych wyników. Rewizja przeprowadzona w domu Heleny nie ujawniła ani strzępka białej flaneli, czego zresztą Hugacz spodziewał się od początku.

Wszyscy pracownicy Spółdzielni lipowskiej zgodzili się na ratalne ściąganie im z poborów należności za zaginioną belę, a Hugacz jako kierownik został „pod osobistą odpowiedzialnością“ zobowiązany do wzmożenia czujności wykluczającej kradzieże w przyszłości.

Tylko jego nieskazitelnej uczciwości i zasługom na polu pracy społecznej przypisać należy, że pozostawio go na tej samej placówce.

„No cóż, nikt nie jest nie do zastąpienia — mówił Hugacz do żony, kiedy na drugi dzień po odejściu komisji siedzieli w czasie przerwy obiadowej w pokoju za sklepem. — Fakt, że z niczego założyłem tę spółdzielnię i kierowałem nią cztery lata z dobrymi wynikami nie upoważnia mnie do tego, aby ginął z niej towar. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby mnie wylano na zbity łeb! Ja sam jestem wściekły na siebie i na to, że w żaden sposób nie mogę pojąć tych kradzieży... Ale ty wcale nie słuchasz, co mówię do ciebie!“

Drgnęła. Utkwione gdzieś w zadumie oczy wróciły z niewiadomej

Wanda Zakrzewska

W spółdzielni lipow

wędrowki i osiadły. znowu na twarzy męża. Białe policzki okryły się rumieńcem.

„Przepraszam — powiedziała — Zamysliłam się.“

Westchnął głęboko i ujął rękę żony. „Gdybyś chciała mnie posłuchać Anielko! To twoje wieczne siedzenie w domu, samotność i rozpamiętywanie doprowadzą cię w końcu do melancholii. Otrząśnij się wreszcie i weź do jakiej pracy! Organizujemy właśnie kurs dla analfabetów, mogłabyś nam dopomóc...“

„Nie! Nie! — krzyknęła wyrwijając mu rękę. — Ludzie męczą mnie strasznie. Wolę być sama! Zostaw mnie w spokoju!“

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie rozległ się jej ściszony jakby zachrypnięty głos:

„Ostatnimi czasy myślałam znowu dużo o... tym, wiesz... Pamiętaj, mówiłam ci, że w skrzynce wózeżka była paczuszka biszkoptów. Jak myślisz, gdybym była zdążyła chwycić ją i zabrać ze sobą do schronu?... Zerwał się z krzesła i chodząc gwałtownie po pokoju krzyczał:

„Prześtań już, prześtań! Dlaczego ciągle myślisz o tym?! Co się stało, to się nie odstanie i trzeba się z tym nareszcie pogodzić!“

Ukryła twarz w dłoniach. Ten ruch natychmiast uciszył jego gniew, a obudził litość nad żoną. W stosunku do niej czuł się winnym, raz dlatego, że pozostawił ją samą z maleńkim dzieckiem w czasie powstania warszawskiego, po drugie, dlatego, że obecnie zajęty pracą zawodową i społeczną poświęcał jej zbyt mało czasu. W czasie powstania Aniela zaskoczona nalotem na ulicy, znalazła schronienie w najbliższej piwnicy, która została zasypana. Zanim przyszedł ratunek, dziecko Hugaczów umarło z głodu i pragnienia w oczach bezsilnej, szalejącej z bólu matki.

Podszedł do żony i gładząc ją po schylonej głowie, łagodnie już mówił:

„Kochana... Przecież nie ma żadnego sensu. Bądź rozsądna! Nie tylko my jedni przeżyliśmy taką tragedię. To wojna!“

Bez słowa wstała zabierając puście menażki.

Nie odchodził teraz w takim stanie, sama, do pustego domu — prosił. — Zaczekaj na mnie! Postaram się przedź skończyć dziś robotę! Janek zamknie i przyniesie mi klucze.“

Bez słowa usiadła znowu, wpatrzona w jeden punkt, biała, apatyczna. Westchnął głęboko zabierając się znowu do książek. Do nieznośnego u tego energicznego mężczyzny uczucia bezsilności dołączyła się przykra świadomość, że właściwie nie będzie to zupełnie w porządku, jeżeli Janek Bocian zostanie sam przy wieczornym zamykaniu Spółdzielni. Ale przecież do Janka można było mieć stuprocentowe zaufanie.

Rzeczywiście ani dnia następnego ani dalszych żądań ze sprzedawców nie zameldował nowej straty i Hugacz zaczął znowu swobodnie oddychać. Pomimo tego nie zaniedbał dyżurów w przerwie obiadowej i własnoręcznie otwierał i zamykał lokal Spółdzielni.

A jednak po trzech tygodniach od czasu pamiętnego śledztwa Helena zjawiła się w pokoju kierownika z bardzo niepewną miną

„Właściwie chodzi o drobnostkę, resztkę... — zaczęła nieśmiało, a w Hugaczu zbudziło się momentalnie znane już uczucie bezsilnego gnie-

wu. — Mogło być tego najwyżej cztery metry. Zaraz sprawdzę... Sztuczny jedwab, granatowy. Wczoraj był, a dziś, rozstap się ziemio!“

Wczoraj miała pani wyjątkowo duży ruch w swoim dziale — Hugacz usiłował ratować sytuację. — Któraś z kobiet mogła schować niewielką sztukę materiału pod chustkę.“

„Może być — przyznała Helena, której równie jak Hugaczowi zależało na tym, żeby sprawa nie doszła do Centrali. — Proszę mi odliczyć z pensji.“

Po chwili dodała ze złością: „Niedługo, jak tak dalej pójdzie, będziemy pracować tylko na złodziei!“

W kilka dni potem wieczorem przed samym zamknięciem sklepu, Janek Bocian wszedł bardzo głośno do pokoju kierownika i położył przed nim jakąś zapisaną kartkę.

3 puszki boczkau
2 puszki jarzyn
4 puszki kompotów... — czytał Hugacz — „Co to ma znaczyć!“

To po prostu waga konserw, które gwizdnięto z mojego działu!“ — W tonie chłopaka była jakaś wyzywająca nonszalancja, która rozgniewała Hugacza zdenerwowanego otrzymaną wiadomością.

„Pięknie uważasz! — powiedział tonem zwierzchnika, którego nigdy nie używał — „Odrąć ci z poborów.“

„Gwizdź na pobory! — usłyszał odpowiedź. — Czy ja tu dla poborów przyszedłem i dla poborów obitem!? Ja, śmiej przypomnieć, i pan, panie... Ech, niech to wszyscy diabli wezmą!“

Młody głos zerwał się na jakiejś podejrzenie wysokiej nucie i Janek demonstracyjnie trzaskając drzwiami opuścił lokal.

Mineły trzy miesiące.

Był ciepły majowy wieczór. Stojąc na wzgórzu poza wsią Hugacz miał przed sobą widok na całą Lipową. W dali, wśród przyciemnionej błękitem zmierzchu zieleni wiosennej zapalały się coraz to nowe światła w oknach domów.

Świeci się u Jantosa, syn uczy się do matury... u Ziobków, starzy przyszli z kursu dla analfabetów... u Marcyny, Wojciech przygotowuje się na jutro... — Hugacz wodził oczami po poszczególnych odmach. Rozmyślnie omijał stojący nieco z boku dom jednorodzinny, który — raz bardziej zatapiał się w mrok, nie rozjaśniony żadnym promykem lampy.

W tej chwili przypomniła mu się toczona przed chwilą rozmowa ze starym Brasiem. Stały Bras, jeden z nielicznych h opozycjonistów wobec nowego porządku we wsi, tym razem znowu stanął okoniem, kiedy zwrócono się do niego o podpisanie apelu sztokholmskiego. Jak zwykle Hugaczowi przypadło w udziale przekonywanie go. Pośród wielu argumentów, których użył, był jeden stosowany tylko w ostatecznych wypadkach:

„Popatrzcie na mnie — powiedział. — Miałem jak wy dom i rodzinę. Wojna zabrała mi wszystko. Dom został spalony, dziecko zginęło z głodu w zasypanym bombami schronie. Żona z rozpacz straciła zmysły. Wiecie, że niedawno byłam zmuszony odwieść ją do zakładu dla obłąkanych. Widzicie, tyle złego potrafiła uczynić wojna w jednej tylko rodzinie! Rozumiecie, że będę krzyczał przeciw wojnie do ostatniego tchu!“

Odetchnął głęboko i energicznie ruszył naprzód. Do Spółdzielni od domu Brasia był niemały szmat drogi a czas zamknięcia sklepu dawno minął. Idąc spoglądał z dumą na coraz bliżej niego świecące domy Lipowej.

„Światło, coraz więcej światła — monologował w duchu. — Światło we wszystkich oknach. Gdzie by to dawniej! Chodzono spać z kurami, a zrywano się o trzeciej w nocy, aby na czas zdążyć z mlekiem i nabiałem do miasta. Kobieta wiejska mając lat trzydzieści wyglądała na pięćdziesiąt. Kochane gosposie! Pracowite to, zadzierzyste a pyskate! Nie daj Boże, jak wyzywają, kiedy o siódmej rano szofer chociaż o kwad-



skiej ginie towar!

rans spóźni się z autem, a one czekają „tyle czasu“ na przyjęcie swych produktów. Auto jak auto. Niekiedy nie chce zapalić bestia. Cóż, stary grat, złożony własnoręcznie przez Janka ze zdobytych w wyprawie na Zachód części. Już czwarty rok dwa razy dziennie robi trzydziestokilometrową rundę do miasta dowoząc tam nabiał, a przywoząc towar z Centrali. Ale kobiecin mają rację, gdy go wyzywają, w Spółdzielni powinno wszystko iść jak w zegareczku... —

Powinno... Hugacz uczył znowu ogarniającą go falę zniechęcenia. W Spółdzielni nie wszystko było w porządku.

Wprawdzie kradzieże ustały, ale pomiędzy Hugaczem a Jankiem wytworzył się stosunek pozostawiający wiele do życzenia. Zauważyła to nawet Helena.

„Cóż ten Janek, wściekł się czy co? — powiedziała. Miała rację o tyle, że Hugacz nie zmienił ani o jotę swego postępowania z pracownikami, natomiast Janek stał się jak by innym człowiekiem.

— „To wszystko od czasu tych kradzieży — myślał z goryczą Hugacz — Janek zachowuje się tak, jakby miał do mnie jakąś ważną, ukrytą pretensję. Niektóre jego wypowiedzi są tak dziwne... Mógłbym sądzić, że chłopak mnie posadza o okradanie Spółdzielni.“ —

Hugacz zawziął się. Udawał, że nie widzi nieraz wprost aroganckiego zachowania się Janka, że nie rozumie półślówek. Nie dawał się sprokować do awantury. Pomimo wszystko lubił Janka jak dawniej.

Teraz, kiedy Aniela nie było, chciał zaproponować mu, aby połączyli swoje kawalerskie gospodarstwa. Hugaczowi łatwiej byłoby znieść samotność i miał nadzieję odzyskać dawny wpływ na Janka, który niewątpliwie przeżywał jakiś ciężki kryzys. Pod pozorami szorstkości i arogancji Hugacz wyczuwał jakieś dogłębne, toczące go zmartwienie.

Ostatnimi czasy Janek zaniedbał nawet swego dojeżdżania na kursy maturalne do miasta i każdego wieczoru zjawiał się przy zamykaniu Spółdzielni, nastroszony, milczący, obserwujący bacnie każdy ruch Hugacza.

„Zupełnie jakby mnie kontrolował“ — pomyślał jednego razu Hugacz, ale nie dał nic poznać po sobie.

Tego wieczoru Janek jak zwykle mruknął coś niewyraźnego, kiedy Hugacz z pozdrowieniem wszedł do Spółdzielni.

Cały lokal był idealnie wyprzątnięty, wszystkie towary z półek wyniesione do magazynu: Lipowski Dom Ludowy był właśnie w remoncie i jutrzejsza uroczystość zakończenia akcji trójek pokoju miała odbyć się w lokalu Spółdzielni.

„Bardzo porządnie sprzątnęłeś — rzekł Hugacz tonem prawdziwego oznania. — Jutro przed samym zebraniem zawiesi się sztandar, emblematy, trochę zieleni i gotowe.“

„Zamykamy?“ — usłyszał niechętny głos.

„Zaraz. Tylko wiesz co? Obydwa kontuary trzeba przesunąć pod same ściany, żeby było więcej miejsca.“

Jakby piorun uderzył w demonstracyjnie obojętną twarz Janka. Drgnął cały i zdumione oczy wlepił w Hugacza.

„Pan? Pan chce posuwać kontuar??“

„Oczywiście, a coż tak na mnie

parzysz. Myślisz, że we dwóch nie mamy rady czy co?“

Mówiąc to już zakasał rękawy i wparł silnie ręce w ladę przy dziele spożywczym. Ciężki, drewniany mebel drgnął i niechętnie opuścił wyżłobione czteroletnim zastaniem wgłębienia w podłodze i powoli zaczął posuwać się w stronę ściany. W tym momencie rozległ się w środku loskot jakby przewracanych ciężkich metalowych przedmiotów.

„Ki diabeł?“ — zawołał Hugacz zaprzestając swej pracy.

Ku jego niezmiernemu zdziwieniu Janek Bocian rzucił się naprzód i z takim impetem, jakby chodziło o zduszenie niewidzialnego wroga, przewrócił kontuar. Równocześnie z hukiem walącego się ciężkiego mebla rozległ się okrzyk Hugacza: „Aniela!“

Wielka, niegdyś biała, obecnie szara od kurzu, biała flaneli, sztuczki materiałów, puszek konserw, torby... Jeden rzut oka wystarczył Hugaczowi, aby skojarzył to odkrycie ze znajdującymi w domu, w zupełnie nieoczekiwanych miejscach, paczkami i paczuszkami z żywnością. Mania robienia zapasów u obłąkanej kobiety, która kiedyś patrzyła na śmierć gło-

dławy, gdy popadając w skrajność kieruje się przeciw „polityce“ w ogóle.

Péguy popełnił tragiczny błąd, tak często grozący chrześcijanom, których na pozycje rewolucyjne przywodzi jedynie wrażliwość moralna. Oto naszkicowawszy szczegółowo swój ideał społeczny nie potrafił go wcielić w społeczną rzeczywistość. Widział jasno, ale nie potrafił w istocie wskazać żadnych innych środków do przezwyciężenia społecznego zła, jak tylko postulat wewnętrznego moralnego odrodzenia. Dlatego program Péguy, choć niezwykle wartościowy dla poszczególnych jednostek uczestniczących w ruchu rewolucyjnym, nie mógł być programem samego ruchu rewolucyjnego. Péguy — mistyk nie znajdował odpowiednika w Péguy polityku. Właśnie z chorobliwego braku zmysłu politycznego wynikało jego odwrócenie się od wszystkich środków, wiodących do socjalizmu: od organizacji politycznych klasy robotniczej, od strajków (którym zarzucał, że są metodą walki zapożyczoną od burżuazji), wreszcie w ogóle od walki klas, którą nazywał ironicznie „sławna walka klasowa“ („la glorieuse Luttedeclassé“). Socjalizm Péguy skazywał się przeto na rolę ideału moralnego oderwanego od rzeczywistości, był socjalizmem „mystycznym“, a nie „politycznym“. Nic przeto dziwnego, że nie mógł przemówić do mas robotniczych, dla których socjalizm nie jest piękną ideą przeznaczoną do adoracji, ale programem działania w celu poprawy ich bytu.

Jego wystąpienia były sygnałem ostrzegawczym przed groźącym niebezpieczeństwem oportunistycznym. Jego pamflety podkreślały z ogromną siłą konieczność napętnienia wszelkiej działalności politycznej żywą „mystyczną“ wiarą, demaskowały nieubłaganie tych, którzy w taktycznej krzątaninie zagubili wyznawane przez siebie ideały, przywracały mimo swojej jednostronności zachwianą hierarchię między ideałem a działaniem praktycznym, które winno mu służyć. Należało je wszakże pojmnąć właściwie. Jakub Maritain, komentując słynne hasło Péguy: „La révolu-

dową swego dziecka... Zakrył twarz rękami i milczał aż do chwili kiedy usłyszał koło siebie rwący się wzruszeniem głos Janka: „Kierowniku, czy będzie pan mógł mi przebaczyć?“

Wyciągnął wtedy dłoń i uchwycił swą rękę chłopca, pytał: „Wiedziałaś o tym?“

„Tak, widziałem przez okno, wkładała puszkę z konserwami. Tam jedna deska otwiera się, jest na zawiasie.“

„Złe zrobiłeś, że nie powiadomiłeś mnie o wszystkim!“

„Zgłupiałem. Skąd zresztą miałem wiedzieć, że pani Aniela robi to z choroby, a pan o tym nie wie.“

Hugacz mówił: „Bywało, że kiedy jadłem obiad Aniela schodziła do lokalu sklepowego. Nieraz sam ją wysyłałem, by obejrzała jakiś ładny materiałik. Tak chciałem ją oderwać od rozpamiętywania i wspomnień, wzbudzić w niej normalne, drobne, kobiece zainteresowania...“

Zamyślił się smutno: „No, dość o tym — dodał po chwili. — W poniedziałek załatwimy wszystko formalnie i przestaniemy o tym mówić i myśleć. A tymczasem jutro mamy piękną uroczystość: wszyscy ludzie w Lipowej podpisali apel pokoju!“



Sąd nad Péguy

dokończenie ze str. 1-ej

tion sera morale ou elle ne sera pas“, pisze: „Nie oznacza to wcale, że przed przekształceniem ustroju należy wszystkich ludzi nawrócić na cnotę. Hasło to tak pojęte nie byłoby niczym innym, jak tylko fałszywym wykretem, by ominąć całą trud społeczną przebudowy. Rewolucja jest dziełem ludzi, którzy poświęcają jej wszystkie swoje siły; to do tych ludzi skierowane są słowa Péguy. Oznaczają one: w nowoczesnym świecie nie możecie przeobrazić ustroju społecznego inaczej, jak tylko wywołując równocześnie — i to przede wszystkim w was samych — odrodzenie życia duchowego i moralnego, sięgające fundamentów duchowych i moralnych, odnawiając ideały moralne, które będą tej grupie przyswiecać i wyzwalając z jej głębi nową zapal.“³⁾

PÉGUY A VICHY

Najbardziej ważki zarzut, jaki stawia założycielowi „Cahiers“ J. M. Gerbault, dotyczy rzekomego utworzenia drogi i inspirowania reżimu Vichy. Péguy „prorokiem Vichy“? Mimo całego paradoksu oskarżenie to nie jest całkiem pozabawione podstaw. Dlatego warto poświęcić mu nieco miejsca.

Nie da się zaprzeczyć, że już przed wojną pewne czynniki faszystowskie we Francji próbowały nawiązywać do dorobku Péguy. One to właśnie misternie tkwały legendę o myśli Péguy jako rzekomym „embrionie socjalfaszystwu“. Reżim Pétaina, który oparł się na elementach tego właśnie pokroju, próbował również powoływać się na Péguy. Zawarta w jego pismach krytyka ustroju parlamentarnego i socjalistów, jego surowa „postawa służby Ojczyźnie“ — wszystko to w odpowiednim naswietleniu posłużyło do zakwalifikowania Péguy jako prekursora „Rewolucji Narodowej“.

³⁾ Jacques Maritain — „Du régime temporel et de la Liberté“.

Stajemy jednak przed problemem: czy te wszystkie fakty pośmiertnego fałszowania twórczości Péguy mogą obciążać winą jego samego?

Za życia Péguy faszizm nie istniał. Stosunki jakie łączyły Péguy z ludźmi, którzy mogliby uchodzić za jego prekursorów, nie dają podstaw do obarczania go winą. Charakter kontaktów z Maurycym Bértes nie wydaje się wystarczający, aby można było mówić o jakimś „nacionalizmie“ Péguy. Péguy łączył również wprawdzie stosunki z Karolem Maurras, późniejszym przywódcą prawniczej „Action Française“ i ojcem duchowym francuskiego faszystwu. Stosunki te jednak były nietrwałe i rychło zakończyły się zerwaniem. Czyż bowiem mogło istnieć jakieś trwałe pokrewieństwo ideowe dwu ludzi, z których jeden unicestwiał politykę w imię mistyki, podczas gdy dewizą drugiego było „politique d'abord“? Między nacionalizmem Maurras'a a patriotyzmem Péguy zachodzi różnica. Stwierdza to Debray: „Péguy z „Notre Patrie“ nie ma nic wspólnego z nacionalizmem typu Maurras, ponieważ nacionalizm ten jest nieucieleśnionym, jest ideą, mistyfikacją Ojczyzny z której czyni się coś absolutnego poprzez opróżnienie jej z treści. Patriotyzm Péguy, podobnie jak jego chrystianizm, jest ucieleśniony, jest patriotyzmem kogoś kto wie, że — cokolwiek by czynił — los jego jest związany z losem jego narodu, że nie ma szczęścia dla niego póki jego naród jest nieszczęśliwy, że nie ma wolności dopóty dopóki jego Ojczyzna jest w kajdanach“.

Powstaje pytanie czy mimo całego braku intencji firmowania faszystwu pisarze typu Sorela i Péguy nie ponoszą jednak w jakimś stopniu winy za wykorzystywanie w tym kierunku ich pism. Niewątpliwie winę taką w części ponoszą. Zarówno bowiem Péguy, jak i Sorel nie potrafili swoich myśli uporządkować i usystematyzować w całość na tyle zwartą, by uniemożliwić fał-

szują ich wykładnię. Obaj pisali w sposób niesłychanie trudny, niejasny i obfitujący w liczne dygresje. Nie bez słuszności Daniel Halevy, przyjaciel i współpracownik Péguy, tak o nim się wyrzył: „Dla osmiuś lat mentów na tysiąc. Péguy był pisarzem nieczytelnym, którego zasługą było drukowanie Rollanda“⁴⁾. To też trudno nie przyznać racji słowom Debray'a: „Bez wątpienia postawi się zarzut, że Péguy nie ponosi odpowiedzialności za wykorzystanie jego myśli przez doktrynerów tej „rewolucji narodowej“, która w istocie nie była ani rewolucją, ani narodową. Ze wszystko jest pretekstem dla fałszowania, dokonanych przez zawodowych mistyfikatorów. Ale właśnie pisarz, którego zawodowi mistyfikatory mogą tak łatwo wykorzystywać nie jest sam wolny od odpowiedzialności za to. Tam gdzie gromadzą się sępy musi znajdować się jakaś padlina“.

Tylko w wyższym sensie można uznawać Péguy odpowiedzialnym za wykorzystywanie go przez Vichy. Życie i twórczość Péguy mówią same za siebie. Nikt nie jest zdolny zakwestionować głębokiego patriotyzmu Péguy. „Péguy rozumie — pisze Debray — że jest synem pewnej ziemi i pewnego narodu, że tę ziemię i ten naród dźwierży w swoim cieles i duszy prawie fizycznie“. Péguy jest człowiekiem, który w swoich pismach boleje nad utratą Alzacji i Lotaryngii, który gwałtownie potępia tchórzliwą kapitulację Francji w roku 1871, uważając że należało walczyć do ostatka; człowiekiem, który wbrew wszystkim zarzucanym mu niekonsekwencjom politycznym zakończył życie wspaniałym aktem konsekwencji, oddając je Francji na polach Marny. Dlatego przyłączamy się do konkluzji jaką ze swojej mowy obronczej wyciąga na łamach „Action“ Pierre Debray: Mimo wszelkich zarzutów należy się Péguy coś więcej niż pobłażliwość. Należy mu się szacunek.

Janusz Zabłocki

⁴⁾ Chodzi tu o powieść „Jean-Christophe“, którą Romain Rolland opublikował przez szereg lat na łamach „Cahiers de la Quinzaine“ (przyp. m.)

W nurcie francuskiej literatury katolickiej nie trudno odnaleźć moment rozgraniczający dawną powieść katolicką od nowoczesnej, tej, która w swym rodzinnym kraju wydała Bernanos'a, a przerzucając się do Anglii zapłodniła twórczo dwa pokolenia znakomych prozaików. Ułatwia nam to rozróżnienie zdecydowany charakter nowoczesnego typu literatury katolickiej, jej postulatowość, jej misyjność i bezkompromisowe postawienie najtrudniejszych problemów współczesności. Ani wytwórny Francois Coppée, ani „diaboliczny“ Barbey d'Aureville, ani Octave Feuillet, ani wreszcie psychologizujący Paul Bourget nie uczynili ze swej twórczości narzędzia walki o prawdziwy, katolicki styl życia, o kulturę katolicką i o prawdziwego człowieka. Ich nawrócenia mają charakter bardziej prywatny i nie stają się rewolucją w ich własnej twórczości. Stąd starzy sceptycy krytyki francuskiej jak Jules Lemaitre i Rémy de Gourmont uświadamiali w swych pismach ogół kulturalny, że nawrócenie jest dla pisarza pewnego rodzaju zabiegiem duchowym, gdy odczuwa brak natchnienia i pustkę przeżyć.

Dopiero Leon Bloy staje się nieustraszoną mącieliem mieszczańskiego marazmu religijnego i w twórczości swej jak z trybuny przez trzydzieści lat z górą miota gromy na sielankę wygodnictwa katolików francuskich. „To jest obudzone sumienie katolicyzmu“ — powiedział o nim ten sam Barbey d'Aureville.

Bloy jest rzeczywistym twórcą nowoczesnej powieści kapłana literackiego, a raczej pomocnika żyjącego współcześnie, który również wywarł olbrzymi wpływ na ukształtowanie się owego „odrodzenia katolickiego“. Jest

nim Jorris-Karl Huysmans nieznany w Polsce, a jeden z najwybitniejszych pisarzy francuskich. Jego ewolucja światopoglądowa od naturalizmu „medańczyków“ aż do mistycyzmu katolickiego, potwierdzona życiem, łącząca ogniewem jednej i konsekwentnej w rozwoju twórczości dwie przeciwstawne pozycje ideologiczne stała się jakimś symbolem przełomu do jakiegoś symbolem przełomu dokonywanego się we Francji. Można powiedzieć, że dzień ukazania się jego najważniejszej książki „En route“ — „W drodze“ — był umiejscowieniem czasowym tego przełomu. Nawrócenie opisane tam straciło konwencjonalny sens mechanicznego przejścia z pozycji do pozycji, lecz zostało ukazane w całej swej dramatyczności i głębi przeistoczenia duszy ludzkiej.

2. DZIEJE FOLANTIN'A

Oryginalność i niepowtarzalność dzieła Huysmansa polega głównie na tym, że stanowi ona ścisły, artystyczny pamiętnik autora, odzwierciedla prawie wszystkie stany jego duszy, tworzy jego bezbłędną biografię. Obiektywizacja literacka posuwa się tu tylko do zmian nazw i akcesoriów tworzących tło powieści. Dlatego tutaj mówimy o tej zgodności życia i dzieła, bo życie Huysmansa jest tak samo ciekawe jak i jego twórczość i obie te dziedziny tworzą całość bez wewnętrznych rozdźwięków — jedyną w swoim rodzaju. Obdarzony wielką zdolnością introspekcji, Huysmans tworzy swych bohaterów na własne podobieństwo i wydaje się, że wysłała ich po to w świat, aby świadczyli o jego klęskach i wzlotach, a głównie o trudnej drodze jaką przebywał, drodze człowieka i artysty.

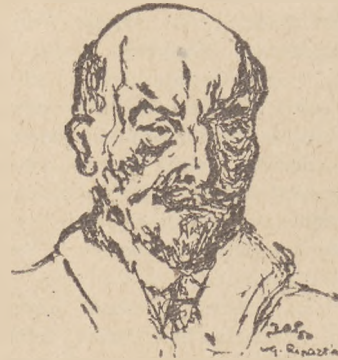
Jerzy ZAGARTOWSKI

„TRUDNA DROGA“

Huysmans, o pochodzeniu holenderskim, z rodziny słynnych malarzy z Breda zaczął swą karierę pisarską w wieku lat 30, zbliżając się od razu do naturalizmu, którego wódz duchowy Emil Zola odniósł już „Teresą Raquin“ swój pierwszy sukces. Młody pisarz był wówczas urzędnikiem w ministerstwie spraw wewnętrznych i już nie uważał się za katolika. Szybko rozwiązały się estetyczne wrażenia religijne, które wynosił z sum w średniowiecznych kościołach w dzielnicy Saint Michel. Życie napada na wrażliwego artystę i zasypuje go materiałem obserwacyjnym, a wraz z nim błędną wspomnienia Madonn z płócien flamandzkich oglądanych w kościele Saint Séverin.

Zapoznanie Huysmansa z Zolą nastąpiło wskutek zbieżności poglądów obu pisarzy na impresjonizm i Edwarda Manet, usuniętego z oficjalnego salonu, którego Zola gwałtownie bronił przed zarzutem niemoralności. Huysmans miał już wówczas poza sobą zbiór szkiców literackich „drageon aux épices“ — „Słoił przypraw“ reprezentujący charakterystyczną dla niego ostrość obserwacji, mógł więc brać udział w zebraniach zwolenników naturalizmu, wśród których bliska nazwiska Flaubert'a i Goncourt'ów. Tymczasem wychodzi spod prasy drukarskiej arcydzieło Zoli „L'Assomoir“ i dzień jego wyjścia jest decydującym momentem w walce naturalizmu z opozycyjną krytyką. W

przeddzień ukazania się książki zbierają się u Zoli młodzi: Paul Alexis, Guy de Maupassant, Henri Céard. Znajduje się tam również Huysmans i zabiera głos w entuzjastycznych wypowiedziach na temat walczącego kierunku literackiego, który ma się stać przyszłością literatury. Gdy wychodził



Jorris-Karl Huysmans

z tego zebrania był już pod wpływem ogłoszonych haseł, bezkrytycznie przyjął zasady systemu, który zatopiwszy się w najdrobniejszych akcesoriach rzeczywistości, bez oparcia się o Coś, co by ją przewyższało, chciał powiedzieć o niej Prawdę, wydać o niej sąd. Nie wiedział nad jaką się znajdzie przepaścią.

„Nie jesteśmy sekciarzami — woła Huysmans w studium o „L'Assomoir“ będącym manifestem naturalizmu — jesteśmy ludźmi, którzy wierzą, że pisarz podobnie jak i malarz powinien należeć do współczesności... Wy-

chodzimy na ulicę, na ulicę żyjącą i rojną — chcemy bowiem spróbować postawić na nogi żyjącego człowieka... chcemy pokazać, o ile się da, mechanizm jego cnót i zbrodni, zrobić selekcję miłości, obojętności, nienawiści“.

Podobnie, gdy zorganizuje się szkoła literacka naturalistów grupująca jego zwolenników w posiadłości Zoli — Médan pod Paryżem (stąd medańczycy) Huysmans weźmie w jej zebraniach żywy udział. Owocem tego udziału stała się jego powieść — „Les speurs Vatarde“ — „Siostry Vatarde“ — jedno z najcenniejszych dzieł naturalizmu francuskiego. Książka ukazała się w wyborowym towarzystwie: „Nababa“ Daudet'a, „Życia Maupassant'a i „Elizy prostytutki“ Goncourt'ów. Było w tej książce wszystko czego wymagały pisane i niepisane kanony naturalizmu: życie robotnicze Paryża, opisy podmiejskiej nędzy oraz dramat upadłej dziewczyny. Ponadto był jednak jakiś przytłaczający nastrój, atmosfera dusząca, dla której określenie „pesymizm“ było zbyt słabe, a która zwiastowała przyszły kryzys duchowy pisarza. Zola stwierdził, że w powieści tej tkwi przede wszystkim malarz flamandzki o tak ostrym widzeniu rzeczywistości jakie cechowało to malarstwo. Flaubert dla odmiany dopatrzył się w niej tylko analizy psychologicznej. Nie dostrzeżono natomiast istotnej rzeczy, że Huysmans dojrzał w naturalizmie przepaść, o której

J. K. HUYSMANS

tłum. J. Zagartowski

Katedra w Chartres

Fragment z powieści „Katedra“ J. K. Huysmans'a

„— Powracając teraz do tematu — rzekł ksiądz Plomb — rozpatrzmy wewnętrzne części składowe naszych świątyń; otóż możemy uważać, że długość katedry oznacza ciepłotę Kościoła w czasie

jego klęsk, jej szerokość — miłośierdzie, którym otacza dusze, a wysokość — nadzieję przyszłego wynagrodzenia za cierpienia doświadczonego życia.

Ołtarz główny i chór symboli-

zują niebo, podczas gdy nawa oznacza ziemię — i ponieważ jedynie krzyż może zniwelować przestrzeń nieuchronnie dzielącą te dwa światy — miano niegdyś zwyczaj, niestety, już zanikły umieszczać w górze najwyższej arkady łączącej na węgach z chórem ogromny krucyfik. — stąd też imię „arkady triumfalnej“ nadane tej olbrzymiej ościerzy otwierającej się przed ołtarzem; zauważyliśmy również, że istnieje krata lub balustrada oddzielająca te dwie domeny i święty Grzegorz z Najazy widział w niej granicę wytyczoną pomiędzy częścią Boga i człowieka.

Co do ołtarza — jest sam Chrystus, miejsce, gdzie odpoczywa Jego głowa, stół Jego Ostatniej Wierzy, Golgota, na której wylał swą krew, grobowiec, który zawarł Jego ciało; ołtarz jest również Kościołem Duchowym i cztery jego rogi są czterema stronami Wrzechświata, które on ogarnia swym wpływem.

Dalej, za ołtarzem otwiera się absyda, której forma jest w większości katedr półkolistą, z wyjątkiem jedynie trzech: w Poitiers, w Laon i w Notre Dame du Fort a Etampes gdzie, jak również w starożytnych bazylikach mur ścienny wznosi się prostopadle i prostoliniowo opada ze sklepienia, nie zarysowując tego kształtu półksiężyca, którego sens jest jednym z najpiękniejszych odkryć symbolizmu. To tło półokrągłe, ta muszla absydy ze swymi kaplicami otaczającymi chór — jest właściwie odbiciem korony cierniowej wieńczącej czoło Chrystusa Pana. Poza ołtarzami całkowicie ofiarowanymi Matce Bożej. — tutaj, w Notre Dame z Paryża i w kilku jeszcze katedrach jest ponadto poświęcona Najświętszej Pannie jedna z kaplic, ta środkowa i naj-

wieksza, aby świadczyć swym miejscem, które zajmuje w końcu kościoła, że Maria jest ostatnią ucieczką dla grzeszników. Jest „na poza tym symbolizowana przez zakrycie, skąd kapłan, zastępca Chrystusa wychodzi po nałożeniu szat liturgicznych, podobnie jak Jezus wyszedł z łona swej Matki po obleczeniu szaty swego ciała. Również ten ołtarz, obraz Pana Naszego dlatego jest pokryty białym płótnem, aby przypomnieć całun, jakim Józef z Arymatei owinął jego ciało i stąd płótno te powinny być tkane prawdziwymi niemi konopi lub lnu.

Trzeba ją całą poznać, tę część Kościoła stanowiącą jego materialny kształt, służący kultowi i tłumaczeniu prawd teologicznych. Bowiem w architekturze kościelnej wszystko jest tylko Wspomnieniem, wszystko jest Echem, wszystko jest Odbiciem — wszystko tworzy nierozdzielalną całość symboliki.

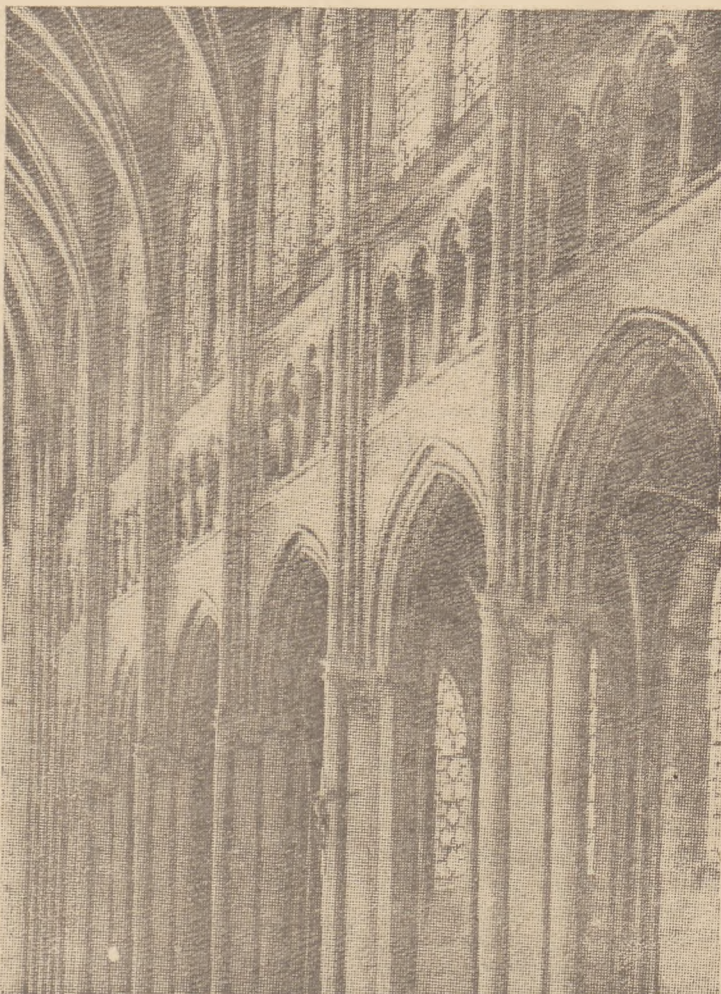
I gdy jeszcze Panu powiem, — dorzucił ksiądz — że kolumny oznaczają dogmaty naszej wiary i, że idąc za opinią Duranda de Mende, wielu biskupów oraz doktorów — kapitele ich są słowami Pisma Św., że kamienna posadzka świątyni jest fundamentem naszej wiary i pokory, że ambona jak również balustrada ciągnąca się wzdłuż naw jest górą, na której nauczał Jezus, że siedem lamp palących się przed Najsw. Sakramentem reprezentują siedem darów Ducha Św., że stopnie prowadzące do ołtarza są stopniami Doskonałości; gdy jeszcze wskaże Panu na dwa chóry, które uosabiają: jeden aniołów, drugi Sprawiedliwych, złączone, aby wspólnie wnieść swe głosy w chwale Najwyższego — wówczas mniej więcej będzie odkryty sens głów-

ny i szczegółowy wnętrza katedralnych, a specjalnie tego, w Chartres“.

Lecz Durtal i tak nie słuchał więcej, daleki od całej tej egzegery monumentalnej, podziwiał sam tymczasem, bez analitycznych rozważań ten zdumiewający kościół!

„...W tajemniczych cieniach ścian powstałych przez zacieki deszczu, wznosił się coraz jaśniejszy, w miarę, jak wzwyż wyprowadzał białość swych naw, wzbijając się niemal jak dusza, który oczyszcza się swym wzlotem w jasność, gdy grawituje na drogach mistycznego życia. Kolumny podpierające strop ciągnęły się po bokach zbierając się w wysmukłe pęki, w delikatne wiązki, tak wiotkie, że niemal czekało się ich zachwiania za najłżejszym powiewem, lecz te kamienne łodygi zginały się dopiero na zawrotnych wysokościach, łączyły się przerzucone z jednego końca katedry na drugi, zcepały się ponad przepaścią mieszając swe soki, kończąc wreszcie rozkwitnięciem — niczym w koszyk kwiatów — w klucz sklepienia o zeszej w ciągu wieków pozłocie.

Ta bazylika była najwyższym wysiłkiem materii szukającej lekkości ducha, odrzucającej niby balast ciężar swych murów, zastępując je substancją mniej ważną, bardziej świetlaną: wciągając na przekór kamieniom przezroczyście naskórek witraży. Ona niemal dematerializowała się, stawała się samą duszą, samą modlitwą — skoro wybiegała w przestwór do Pana, aby się z Nim połączyć, lekka i smukła, prawie bez ciężaru — była ona najwspanialszym wyrazem piękna, które ucieka ze swego ziemskiego łożyska, piękna, które się przeaniela.



Wnętrze katedry w Chartres

J. K. HUYSMANS

nie chcieli myśleć jego twórcy. Po prostu wyciągnął z tej postawy wobec życia logiczne konsekwencje: straszliwy pesymizm bezsensu życia i osamotnienia człowieka.

Huysmans był chyba najwybitniejszym przedstawicielem tej fali pesymizmu jaka ogarnęła Francję ok. r. 1880 — roku, o którym sądzono, że stanie się początkiem nowej ery szczęścia ufundowanej na podstawach naukowych, na wynikach doświadczeń Claude Bernarda i Bertholda. Ale mimo wieszczona starego Renana o nowej epoce wszyscy odczuwali pustkę duchową czasów. Postacią, która patronuje tej beznadziejnej atmosferze we Francji u schyłku XIX w. jest niezapomniany ms. Folantin, z jednej z następujących powieści Huysmansa — „A veau l'eau“ (Z prądem). Powieść wyszła w r. 1882 i wzbudziła niepokój wśród medańczyków. Przeczuwano odejście zdolnego pisarza.

Oto nieciekawa historia życia ms. Folantin'a. Syn biednych rodziców, dzięki pracy matki może zdobywać naukę i kończy gimnazjum z odznaczeniem. Później nie mając środków na naukę zostaje urzędnikiem kanbelerijnym w jednym z ministerstw, ale jednak pa trzy z ufnością w przyszłość. Tu jednak zaczyna się jego udręka — przełożeni wskutek jego pochodzenia traktują go z pogardą, koledzy z protekcją ubiegają w awansach. I tak mijają jego najpiękniejsze lata młodości. Wresz-

cie zepchnięty przez innych musi przepisywać stopy niepotrzebnych listów. Nie mając pieniędzy nie może się również ożenić. Pozostaje starym, skwaszonym kawalerem mieszkającym na ostatnim pięterku wielkiej czynszówki. Wie, że w jego losach nic się nie zmieni i nie stara się buntować. Pozostaje mu tylko życie bez treści, zupełnie puste, obrzydzone do ostateczności wstrętnymi restauracjami. Widzimy go w niedzielę, jak idzie z boku samotny, prawie bezdomny obserwując roześmiany tłum przechodniów. „Schopenhauer ma rację — mówi Huysmans te straszne słowa ustami ms. Folantin'a — życie ludzkie porusza się jak wahadło pomiędzy bólem a nudą. Trzeba tylko założyć ręce i starać się zasnąć“. Ale na tym dniu zubożenia i pesymizmu budzi się coś — jak światła jedna myśl rzucona przez Folantin'a na końcu książki: „Tylko religia mogłaby zbliżyć tę ranę jaką jest moje życie“. Ms. Folantin nie znika wraz z zamknięciem książki, życie jego nie kończy się na ostatniej stronie, ale wciela się w bohatera następnej powieści zwiastującej nieuchronny przewrót w poglądach autora. I oto biedny urzędnik pozabawiony zawsze pieniędzy staje się potomkiem arystokratycznego rodu księciem Jean Floressa des Esseintes, który pragnie odnaleźć własną i prawdziwą drogę przez życie. O tej reinkarnacji Folantin'a w des Esseintes napisze

Huysmans w 20 lat po ukazaniu się tej książki, wówczas, gdy będzie już katolikiem. „Chciałem przenieść środowisko „A veau l'eau“ w inny świat, wyobraziłem sobie Folantina wykształconego, wysubtelniejszego, bogatego, który znalazłby w sztuce ucieczkę przed obrzydzeniem jakie w nim wywołały klęski jego własnego życia“. Tak powstało „A Rebours“ — „Na przekór“ — jedna z najoryginalniejszych powieści literatury francuskiej. Światło obserwacji autorskiej pada tu na jedną tylko postać, długie monologi zastępują dialektykę rozmowy.

Oto dzieje Folantin'a — des Esseintes'a. Bogaty książę pełen pogardy dla ludzkości i świata stwarza sobie własny świat samowystarczalny, tworzy sobie w pałacu komfortową pustelnię, w której zamyka się wraz z ukochaną Sztuką. Stwarza sobie nienaturalną egzystencję, na pół klasztorną i luksusową, stara się wykorzystać wszystkie środki dla zaspokojenia podniekt zmysłowych. Buduje sobie fikcje rzeczywistości piękniejszą niż rzeczywistość. Ma wspaniałą bibliotekę i zbiory dzieł, ale nic nie rozprasza jego straszliwej nudy i niedosytu życia. Każdy dzień spędzony w tej sztucznej atmosferze niszczy jego system nerwowy — jak życie Rafaela de Valentin skracało się wraz z pragnieniami w „Jaszczurze“ aBlzaka. Wreszcie jedynym ratunkiem staje się dla nie-

go powrót do normalnego życia, do „tłumu ludzkiego“, który obwiniał o wywołanie jego wewnętrznej pustki. I w obliczu upadku wszystkich planów des Esseintes'a z ust jego wyrwywa się modlitwa — okrzyk człowieka szukającego oparcia: „Panie, miej litość dla chrześcijanina, który wątpi, dla ateisty, który chciałby uwierzyć, dla galernika życia, który przybija do brzegu sam, wśród nocy, w cieniu firmamentu nieoświetlonego pocieszającymi

gwiazdami dawnej nadziei“. To już nie dyskretne wyznanie Folantin'a. To „De profundis“ zagubionego człowieka, który z otchłami spogląda na szczyt i szuka doń drogi. Sztuka, która posiada blask boski nie może zastąpić Boga i dla tego rozpada się samotnia des Esseintes'a.

W kilkanaście lat później Huysmans napisał słowa, zawierające cały dramat poszukiwań człowieka i artysty: „Ongi nie nawidziłem go (Kościół) miałem bowiem



Katedra w Chartres

Katedra stara wiotka i blada jak Dziewice z płócien Rogera van der Weyden, które są tak filigranowe, tak delikatne, że uleciałyby gdyby ich w pewien sposób nie zatrzymał tutaj ciężar ich brokatów i trenów. Była to ta sama koncepcja mistyczna ciała o wrzcionowatym kształcie, całego w długości i tej duszy płonącej, która nie mogąc całkowicie uwolnić się od ciała, usiłowała się jedynie z niego oczyścić, ograniczając jego materialną spistość, czyniąc go niemal tchnieniem.

Zdumiewała ona nieprzytomnym zrywem swych szczytów i szaloną wspaniałością witraży. Był czas zachodu słońca i teraz płonęło całe to palenisko szklanych klejnotów, tak w klingach ostrołukowych okien jak i w kulistych formach rozet. Tam wyżej, w szklanej przestrzeni, ludzkie postacie płonęły jak salamandry, żyły na tym płomienistym firmamencie z żarzącymi się twarzami, w sukniach z rozpalonych węgli. Lecz pożary te były ograniczone, wpisane w ramy ogniotrwałe z ciemnej zieleni gaszącej radość wesołych, rubinowych płomieni przez pewien odcień melancholii, przez ten wygląd poważniejszy i surowy jaki zawsze stwarzają barwy ciemniejsze.

Szał czerwieni, alleluja złotego krzyku, dziewicza chwała błękitu, obojętna przezroczystość biele — całe to wibrujące, szklane ognisko przygasało zbliżając się do tego szlaku kolorów rdzy, radości sosów, zimnego, twardego fioleto, zieleni szkła butelkowego, brązu próchna, czerni sadzy, czy wreszcie szarości popiołu. I podobnie jak w Bourges, którego witraże pochodzą z tej samej epo-

ki tak i w szklanych taflach z Chartres dał się odczuć wpływ Wschodu. Pomijając już, że postacie miały wygląd hieratyczny, zbyt kowne ubiory i barbarzyńska azjatyckich sylwetek — całość witrażu przez swój rysunek, przez ułożenie kolorów wzbudzała wspomnienie dywanu perskiego, który z pewnością służył artystom jako model, tymbardziej, że wiemy dzięki „Księdze Rzemiosła“, że produkowano wówczas we Francji, w samym Paryżu dywany doskonale imitujące te, które zostały przywiezione ze Wschodu przez Krzyżowców.

Ale już pomijając zagadnienia tematów i sylwetek — kolory tych obrazów były jedynie tłumami przybocznymi, tylko służącymi przeznaczonymi, aby składać hołd innej barwie: błękitowi, wspaniałemu, niebywałemu błękitowi o odcieniu szafiru z jasnoczerwonym połyskiem, błękitowi najświetlanszemu, który wзираł zewsząd, skrzęcał się jak jedno ze szkła wypadł z kalejdoskopu — w witrażach okien, w rozetach nawy poprzecznej, w oknach przedsiönka królewskiego — gdzie przeświecał przez kraty z czarnego żelaza niby niebieski płomień siarki.

Ogólnie biorąc, z odcieniem swych kamieni i witraży Notre-Dame z Chartres była blondyną o niebieskich oczach. Upostaciowała się ona w rodzaj bladej wróżki, Dziewicy smukłej i wysokiej o lazurowych oczach osadzonych w jasnych powiekach swych rozet — była Ona Matką Chrystusa Północy, Chrystusa z prymitywów flandryjskich, królującego w głębi akwamarynowego nieba i otoczonego — jak na wspomnienie krucjat — orientálnymi dywanami ze szkła.

A były one, te przerozyste dyniarsz bukietami wydzielającymi woń sandału i nardu, emanującymi subtelną wonnością Królów Magów, były one woniejącym rozkwitem odcieni zebranych za cenę takiego wylewu krwi na polach Palestyny, odcieni, które Zachód ofiarował Madonnie w zimnym klimacie Chartres, jako wspomnienie tych krajów, w których żyła i gdzie Syn Jej miał wolę narodzić się.

— Gdzie można znaleźć dla naszej Matki wspanialszy klejnot i delikatniejszy relikwiarz? — rzekł książę wskazując na wielką nawę.

Ten okrzyk wyrwał Durtala z jego rozmyślań i słuchał dalej księdza, który ciągnął:

„— Tak, przez szerokość swego kałduba ta katedra jest unikatem, natomiast nie osiąga ona mimo niebywałego wzrostu zawrotnych wprost wysokości Bourges, Amiens i głównie Beauvais, której sklepienie wznosi się na 48 metrów ponad ziemię. To prawda, że chciała ona wszystko uczynić, aby przewyższyć swe siostry. Przygotowana na odbicie z ziemi w przestworza, zachwiała się, aż wreszcie runęła. Czy zna Pan części ocalałe z obsunięcia się tego szalonego kościoła?“

„— Tak, proszę księdza, — ołtarz główny i absyda, wąskie, ciasne, z kolumnami, które prawie schodzą się i z oświetleniem rozżęcającym się w bańki mydlane.

...Przypomina sobie książę jej filary, które są podobne gładkim i mięsistym pniom buków? ...Jakaż różnica z tymi strunami harfy, z jakich składa się kamienny kościół Chartres!

Poza tym, czy nie jest książę

uderzony tą pożyczką, którą geniusz ludzki zaciągnął u Natury, wówczas gdy wznosił bazylikę? Jest prawie pewnym, że lesna aleja służyła za wzór „mystycznym ulicom“ naszych naw idących wśród szeregow filarów. Mówił księdz przed chwilą o kolumnach z Beaurrais, które są podobne pniom bukowym, niech książę przypomnie sobie teraz filary z Laon — mają one spojenia — węzły w biegu swych kształtów i imitują — wydaje mi się — zgrubienia na bambusowych łougach; widzimy ponadto florę kapitelów i wreszcie te klucze sklepień, do których dążą długie nerwy łuków! Tu jednak zaczyna się „panowanie“ form zwierzęcych, które zdaje się również natchnęły architektów. Czyż w istocie nie można powiedzieć o olbrzymim pająku, którego ciałem jest klucz stropu, a łapami żebra podtrzymujące sklepienie? Obraz ten jest bowiem bardzo prawdopodobny.

Lecz jakież cud, że ten pajęczy olbrzym, którego ciało jest czerlowone jak klejnot i lśniące złotem — utkał płomienne płótno witraży w trzech wielkich rozetach!“

„— Jest więc katedra wielkim, malowanym i rzeźbionym pamiętnikiem Średniowiecza“.

— Jest ona jeszcze — podobnie jak i inne katedry gotyckie zbiorem najbardziej kompletnym, najpełniejszym jaki mogły być symbolizmu, bo, ogólnie biorąc, alegorie, które usiłowaliśmy rozszyfrować w kościołach romańskich, są często albo przesadne, albo wątpliwe — i to się potwierdza. Styl romański jest bowiem konwertytą, jest to poganin, który stał się mnichem. Nie jest on

urodzonym katolikiem, tak jak styl ostrołuków, stał się nim dopiero przez chrzest, którego mu Kościół udzielił. Chrystianizm od krył go bazylice rzymskiej i przyjął, przystosowując do swego ducha; jego pochodzenie jest więc pogańskie i mimo swego rozwoju w chrześcijaństwie nie mógł przyjąć naszego języka symbolów i wyrazić swą formą naszych emblematów“.

„— Ale jednak, w swojej całości — mówił Durtal — przedstawia on według mnie pewien symbol — jest to skamieniała postać Starego Testamentu, obraz skruchy i bojaźni“.

„— I ponadto jeszcze symbol spokoju ducha — dodał książę. — Niech Pan mi wierzy, aby dobrze zrozumieć ten styl trzeba zwrócić się do jego źródeł, do pierwszych lat ery klasztornej we Francji, której jest on wspaniałym wyrazem, trzeba cofnąć się jeszcze do ojców kościoła, do wschodnich świętych żyjących na pustyni. Jaki jest specjalny charakter mistyki wschodniej? — jest nim wiara cicha, miłość bezgłośna pożerająca siebie samą, gorąca, ale zamknięta, ale wewnętrzna. Nie znajdziesz w ksiązkach pustelników egipskich porwyłów ducha Magdaleny z Padwy i Katarzyny Sienieńskiej, przejmujących okrzyków świętej Agnieszki. Nie zna kościół romański płomiennych ekstaz mistyki gotyckiej, która zewnętrznie się w kamiennym przedziwie jej katedr — styl romański żyje skupiony w sobie, z jakimś skoncentrowanym wysiłkiem ukrytym na dnie duszy. Wyraża się cały tym zdaniem pro roka Izjasza: „In mansuetudine et in tranquillitate simplicitate animam tuam“.

łum. Jerzy Zagartowski

TRUDNA DROGA

(dokończenie ze str. 5-ej)

tarczę, która mnie osłaniała gdy wicher nudy zawył — miałem sztukę. Ale gdy poznałem całą jej niedoskonałość, jej wyraźną niezdolność do zapewnienia komukolwiek szczęścia zrozumiałem wówczas, że może ona zadowolić jedynie ludzi, którzy nie potrzebują naprawdę pociechy“. W roku, w którym ukazało się „A Rebour“ — naturalizm powoli dogorywał. Huysmans był w odwrocie z tego kierunku, nie mógł w nim dalej postępować, skoro znajdujemy w jego książce te znamienne słowa: „O czym mam mówić? Rozmowy, które nie dotyczą wcale ani religii ani sztuki są tak niskie i puste“...

3. DZIEJE DURTALA

Książę des Esseintes, który kuł się z przerażenia patrząc na zdarte story z okien i otwarte na roście drzwi swego pałacu nie opuścił ziemi na zawsze, lecz zjawiał się niebawem w Paryżu jako literat, miłośnik średniowiecza oraz subtelny esteta pod nazwiskiem Durtal. Będąc wnikliwym badaczem Wieków Średnich szuka w nich tego co napróżno starał się odnaleźć w sztuce des Esseintes. Gdy wpada na trop czarnej magii, odwiecznej wiedzy zbudowanych aniołów, wydaje mu się, że jest na właściwej drodze. Zanim wzniesie oczy ku niebu chce poznać piekło i dlatego książka, która opisuje jego drogę szatańską nosi tytuł „Tam“ („La bas“).

Huysmans w tym czasie zerwał ostatecznie z naturalizmem i zauważa wokół siebie nieogarnione horyzonty życia widzianego już w perspektywach nadprzyrodzonej. „La bas!“ przynosi nam krytykę porzucanego kierunku. „Cóż to za teoria — woła Durtal — coż to za wąski i ograniczony system: chcieć zamknąć się w granicach ciała, odciąć się od ducha, nie rozumieć, że istota sztuki zaczyna się tam, gdzie zmieszły przestają służyć“.

Znany krytyk Rémy de Gourmont poznał Huysmansa z literatką Beëthe Courriere — która przyjęła w „La bas!“ postać demonicznej Chantelouve — tkwiącej w centrum środowiska okultystów, mediumistów i satanistów. Stąd w „La bas!“ Durtal uczestniczy w seansach spirytystycznych, stąd wziął Huysmans natchnienie do opisu straszliwej, bluźnierczej mszy, wymyślonej zresztą przez niego. Wraz z szatańską Chantelouve zwiedza Huysmans jak Dante krąg piekielny, podróż ta pozwalająca mu poznać zło budzi w nim jednak tęsknotę za pięknem i dobrem. Nietrudno już przejść na stronę aniołów, wówczas gdy w ogóle uznaje się świat duchów. Zerwaniem z satanicznym towarzystwem i zwróceniem duszy ku katolicyzmowi kończy się „Tam!“

Ta sama jednak Beëthe Courriere oddaje Huysmansowi przysługę, za którą jej będzie wdzięczny przez całe życie. Otóż nawiązuje znajomość pomiędzy pisarzem a ks. Mugnier, młodym wikarym z parafii św. Tomasza z Akwinu, a jak okazało się również świetnym lekarzem dusz. Wiadomość o spotkaniu z księdzem odbyła się 28 maja 1891 r., w zakrystii kościoła.

„— Opublikowałem sataniczną książkę pełną czarnych mszy — powiedział Huysmans — teraz chcę napisać inną, poświęconą mszy białej. Ale koniecznie muszę się przed tym sam wybielić. Czy będzie miał książkę chloru na moją duszę?“ W ten sposób

Huysmans wszedł na drogę, która go zaprowadziła do furty klasztoru trapistów w Igny. Tę historię zawiera pierwszy tom powieści „En route“ — „W drodze“, której wyjście było historycznym momentem w literaturze francuskiej.

I oto widzimy Durtala w kościele Saint Sulpice o godzinie 8-ej wieczorem, gdy „nawa o ciężkich walcowatych sklepieniach znikła w mroku i można było zdala od ludzkiego oka szperać w jej duszy“. W tej ciszy Durtal przeprowadza analizę swego postępowania i zapytuje sam siebie co go zaprowadziło do kościoła? I odpowiada: wstręt do życia i miłość do sztuki. Sztuka pozbawiła Boga, która nie wystarczała księciu des Esseintes prowadzi go na stopnie świątyni i tam dopełnia się, nabiera głębi mistycznej. Durtal znajduje w sztuce kościelnej elementy potężne i wstrząsające. Jego wyobrażenia hymnów kościelnych „De profundis“ i „Dies Irae“ podobne są rembrandtowskiemu płótnom o szerniawym werniksie i potężnej muzyce Wagnera. „Snopy głosów szły pod sklepienia, łączyły się z dźwiękami prawie surowymi harmonik z ostrym brzmieniem łączonych kryształów, zdawały się podnosić w ostatnim wysiłku i nieś pod niebiosą udręczenia duszy bezcielesnej rzucającej się z płaczem do stóp swego Boga“. Za chwilę zabrzmiał wspaniały hymn. „Dies Irae“ ten krzyk rozpaczliwej ostatecznej i przestraszenia, hymn, w którego strofach rozszalał się gniew boski. „Tę melodię żalostną i upartą opanowywał wicher burzy zalewając falami świetlane bliski plaż niebieskich, a soliści śpiewali dalej oddając różnorodnymi głosami to grozę hańby, to wstrząs bojaźni, to szloch płaczu“.

Przed Durtalem szukającym Boga otwiera się codziennie szereg kościołów: i Saint Sulpice i Saint Séverain i Notre Dame des Victoires. Każdy z nich rozporządza innym skarbem kościelnej sztuki i każdy ma swoje wady. Durtal jest tym ostrzejszym ich krytykiem im mocniej się do nich przywiązuje; jego ataki na brzydotę śpiewów i malowideł kościelnych mają trafność uwag Leona Bloy. Lecz w swych wędrówkach po świecie nieznanym mu doznał duchowych, w walce z własnymi namiętnościami ma on swego przewodnika — jest nim stary ksiądz Gévrésin upostaciowanie młodego wikarego Mugnier. On to wtajemnicza Durtala w nieznana, rolę klasztorów, polegająca na tym, że zamknięci w nich ludzie wyrzeczeniami dobrowolnymi zmasują występki innych. Plastycznie to ukazują znana Durtalowi ulica la Santé w Paryżu, gdzie po jednej stronie ciągną się więzienia a po drugiej klasztory i dobrowolne cierpienia jednych równoważą zbrodnie drugich.

„Święte staną ci do pomocy na placu walki — zapewnia Durtala ksiądz Gévrésin — one wezmą na siebie nadmiar napaści których zwyciężyć nie będziesz mógł“. I istotnie, po modlitwach powiadomionych, a nieznanym Durtalowi Klarysek i Karmelitanek najgorsze pokusy zmysłowe minęły. Po doświadczeniu tej pomocy Durtal

rzuca myśl tak wstrząsającą dla współczesnych we Francji: Paryż, to gniazdo grzechu powinien być otoczony klasztorami kontemplacyjnymi, a nie fortami.

Książę Gévrésin ma wobec Durtala pewien określony plan działania i oto ostatecznie Durtal, ten przewrażliwiony literat, godny po tomek des Esseintes'a wyjeżdża do klasztoru Trapistów Notre Dame de l'Atre w roli rekolektanta. Nie wiedział jadąc, że duchowo pozostanie już z nim na zawsze. Tam w klasztorze dokonuje się ostatecznie „rewolucja“ nawrócenia, a wraz z nim ostatecznie kuszenie Szatana doświadczone przez Durtala w czasie strasznej, przełomowej nocy. Klasztorne życie Trapistów ukazało mu nieznaną przedtym horyzonty życia duchowego i odebrało spokój wewnętrzny z jakim mógłby pracować w Paryżu.

„— Ach — woła na końcu książki — wychodzę stąd z mózgiem w rozsypce i z sercem poszarpanym. Paryż i Notre Dame de l'Atre wyrzuciły mnie po kolei jak rozbitka i oto jestem skazany na życie połowiczne, gdyż jestem jeszcze za bardzo literatem, bym mógł zostać mnichem, a jednocześnie nie za bardzo mnichem bym mógł przestawać wśród literatów“.

Wydane „En Route“ musiało rzeczywiście wywrzeć silne wrażenie na współczesnych jeżeli szereg pozycji francuskiej literatury krytycznej nosi ten lakoniczny i jednocześnie wiele mówiący tytuł: „La publication d'En route“ — z źródłowym dziełem Doumesnila na czele. Nawrócenie pisarza-kolumny naturalistycznego Medana, otwarcie naroście kościołów a głównie klasztorów kontemplacyjnych przed oczyma przeobrażonej bohemy paryskiej było silną dawką. Odzwierciedla się to w cennym dzisiaj dla nas wyznaniu Rémy de Gourmont: „Jak że daleko byliśmy wówczas, w momencie o którym mówię od przewidzenia podobnego końca Muszę się przyznać, że do ostatniej chwili nie żywiłem nawet przypuszczenia o możliwym nawróceniu Huysmansa. Byłem przekonany, że dla niego jak i dla mnie „dekoracja katolicka“ — jest niczym innym jak tylko dekoracją“. Na temat nawrócenia Huysmansa wylano morze atramentu, ale to nie było najważniejsze. Stało się faktem, że książka Huysmansa siłą swego talentu i znawstwem psychiki francuskiej dała hasło do rozpoczęcia inwazji katolicyzmu na warstwy kulturalne.

Nie zakończają się jednak na tym dzieje Durtala. Nie mogąc już znieść świeckiego życia Paryża wyjeżdża on wraz z księdzem Gévrésin do Chartres i osiedla się tam celem studiów nad średniowieczem. Losy jego obserwujemy w następnej powieści wydanej w trzy lata później Jest to „Katedra“ — dziwna monografia gotyckiej świątyni w Chartres, książka, która nie miała wprawdzie do spełnienia tej misyjnej roli jak jej poprzedniczka — lecz stał się arcydzieło Huysmansa i jedno z najwspanialszych osiągnięć katolickiej literatury francuskiej. Może właśnie w „Katedrze“ najbardziej odnalazła wyraz subtelność i bogactwo kultury francuskiej, tworząc jedyne w swoim rodzaju dzieło, powieść, której bohaterem jest

zewewnętrzne odczuwanie życia. Zo staje on wzniesiony pod nazwą „Dom Marii“ stanowiąc najdziwniejszy artystyczny klasztor kontemplacyjny XX wieku. I oto ostatni rozdział dzieł Durtala-zakonnika opowiedziany w powieści „L'Oblat“ — „Braciszek za konny“.

Trudna droga Huysmansa zakończyła się na furcie klasztornej. Dopiero dalsze dzieje literatury katolickiej zmieniają kierunek takich dróg i każą im prowadzić miast w ciszę odosobnienia — w głąb zdechrystianizowanych społeczeństw.

4. ZNAK ŚW LYDWINY

W ciszy swego klasztoru Huysmans zrealizował literacko temat, który go niepokoił jeszcze przed nawróceniem: życie św. Lydwiny z Schiedam.

Dziwne i straszne było życie tej holenderskiej świętej z XIV wieku — stanowiło ono pasmo strasznych cierpień fizycznych i niespotykanej mocy ducha. Będąc śliczną młodą dziewczyną upadła ślizgając się na kanałach miasta i odtąd choroba kości przykuwa ją do łóżka na 30 lat tj. aż do śmierci. Spada na nią cały szereg cierpień wraz z chorobą oczu, która każe jej żyć w ciemnej piwnicy. Jednak Lydwina cierpi świadomie za zbłąkaną ludzkość i nie wzdraga się przed tą drogą krzyżową. Tak w swej samotni wydoskonala wla dze duchowe, że łączy się z Bogiem w stałych ekstazach. Rany jej nie wydzierały zapachu, a w momencie śmierci Bóg przywraca jej piękność rysów i całe miasto zbiega się poruszone cudem. Licz ni chorzy zostają uleczeni.

Jest niepojęta zbieżność, że Huysmans tak prześladowało życie tej nieznannej powszechnie świętej, jakby w przeczuciu, że pójdzie w jej ślady i że trudną drogę swego nawrócenia zakończy męczeństwem. Oto w 59 roku życia zapada na raka gardła, nosa i powiek. Zanurzony w straszliwej ciemności, sztucznie odżywiany Huysmans zachowuje w swych cierpieniach całą równowagę ducha. Wie, że to ostatnia i decydująca próba jego katolicyzmu i dla tego nie przyjmuje morfiny oraz innych narkotyków. Samotny ze swoją męką rzekł do otaczających: „Wszystko to łatwiej jest opisać niż przeżyć. I teraz któż ośmieli się twierdzić, że moje nawrócenie było tylko literaturą“.

12 maja 1907 r. zmarł. Święta Lydwina, której stał się wyznawcą zamknęła mu oczy — i to był znak jej opieki, że nawet swą śmiercią, pozwoliła mu utrzymać tę tajemniczą jedność jego życia i dzieła.

Jerzy Zagartowski

Nowość

Nowość

JANA DOBRACZYNSKIEGO

opowiadania

NAJWIĘKSZA
MIŁOŚĆ

ukazały się nakładem Sp. Wyd. „PAX“. Inst. Wyd.

Skład główny: Zdzisław GUSTOWSKI, Poznań,
św. Marcina 34.

„Veritas“, Warszawa, ul. Widok 5.

JESZCZE O MARSHALL'U...

Ks. Jan Nowicki poświęca w ostatnim „Homo Dei“ dłuższy artykuł surowej krytyce książki Marshalla „Chwała córki królewskiej“ ze „stanowiska kapłańskiego“. Dla ks. Nowickiego książka „pod względem ideowym“ posiada „więcej minusów niż plusów“.

Gdyby się chciało odparować wszystkie ataki ks. Nowickiego na książkę Marshalla, trzeba by napisać artykuł co najmniej równie duży. Nie będziemy tu jednak zajmowali się szczegółami, zwrócimy jedynie uwagi na najważniejsze, zdaniem Autora artykułu, wady książki Marshalla.

1) Ks. Nowicki zarzuca Marshallowi, że „utrzymał całą książkę... w tonie wesółkowatym“. Z twierdzeniem tym można się zgodzić, odbierając jednak przymiotnikowi „wesółkowatość“ sens perioratywny. Książka Marshalla jest specyficznym typem utworu literackiego, w którym autor-narrator, w duchu lekko kpiarskim mówi o sprawach nawet bardzo poważnych. Wesółny ton nie odbiera ani na chwilę znaczenia ukazywanym faktom. W literaturze angielskiej ten rodzaj twórczości od Thackeraya, Dickensa, Wilde'a do Waugha czy Marshalla cieszy się ogromnym powodzeniem. W literaturze polskiej mieliśmy również utwory o wcale podobnym charakterze, że wspomniemy tu o J. Korzeniowskim lub B. Prusie. Niestety — od co najmniej już 50 lat w Polsce umocniło się przekonanie, że o poważnych sprawach można mówić — i trzeba — tonem śmiertelnie poważnym, zaś zdanie o „nieszarganiu świętości“ było aż do znudzenia szar-

gane przez rozmaitych zwolenników pompy, pozy i nadęcia. Mowy rozmaitych mężów stanu — zwłaszcza w okresie międzywojennego dwudziestolecia — oczekiwały zabójczą celebrą. Patos królował także w literaturze, a jeśli ustępował miejsca to dla odmiany ordynarnościom. Patos nie mniejszy panował na ambonie. Do dziś dnia słyszy się stamtąd zdania bliższe napewno Wujkowi i Skardze niż współczesnemu językowi praktycznemu. Oczywiście nie chodzi tu tylko o język. Język jest tu tylko rodzajem narzędzia, pomagającego w utrzymaniu przemów na poziomie nadpowagi. Marshall tymczasem mówi zwyczajnie, mówi z humorem, jak się i u nas często mówi, ale jak tu pod żadnym względem nie pisze. Tędy słyszy się rozmaite historie opowiedane przez księży, często niepozbażonych poczucia wesółkości, zdaje się, że się czyta Marshalla. Okazuje się, że można tak mówić. Kiedy się jednak tak napisze — leca gromy.

2) Ks. Nowicki ma pretensję do Marshalla, że przedstawił jakieś „karykaturalne“, „dziwaczne“ typy księży. Niewątpliwie bohaterowie Marshalla nie są ideałami. Pisarz pisze zgodnie ze swoją tezą, którą wypowie w ostatniej swej książce „Every man a penny“ ustami księdza południowo-amerykańskiego: „Nasz świat jest bardzo grzesznym miejscem. Gdyby nie był takim, nie byłoby potrzeba, żeby Chrystus zstąpił z nieba na ziemię i umierał

na krzyżu. Nie byłoby potrzeba, żeby istniał Kościół i Sakramenta. I dlatego nie należy się martwić, że na świecie jest grzech i że nie możemy świata uczynić lepszym, gdy się za niego modlimy, gdy nauczamy, gdy udzielamy sakramentów wszystkim dokonuje się samo...“ Ale choć trudno jest powiedzieć o książce Marshalla, że jest realistyczną powieścią typu współczesnego (jak np. powieść Greene'a), ale raczej przypomina „uliteratyzowane tezy“, w rodzaju książek Chestertona, trudno nam się zgodzić na narzucanie autorowi żądania, by obraz życia zastępował rodzajem apologii. Literatura nie jest apologetyką — tyle razy już się o tym pisało. Marshall pokazał nam takich księży, jakich widział, nie robił z nich clikliwych bohaterów idei, ale ludzi, którzy wśród setek słabości spełniają jednak swoje zadania. Książka Marshalla nie jest podręcznikiem dla seminarzystów, ale utworem literackim (a powodzenie jej jest tak wielkie, że w tej chwili jej nakład tylko w języku angielskim wynosi ponad 1 milion egzemplarzy). Literatura katolicka lubuje się w malowaniu

„przewrotów“ i „przemian duchowych“ i chętnie by nawet zgodziła się na pokazanie zupełnie czarnych typów, byle by tylko można z nich było pod koniec książki zrobić aniołów. Marshall inaczej: pokazuje jak mały, codzienny wysiłek małych, zwykłych, czasami nawet mało inteligentnych ludzi, tworzy — dzięki Łasce — wielkie dzieła.

3) Marshall pisze dla Anglików i o Anglikach. Trudno żądać, aby przymierzał swoją powieść do stosunków panujących w krajach, w których jego książki będą tłumaczone. Pokazuje nam społeczeństwo angielskie absolutnie zdechrystianizowane, obojętne dla spraw wiary i nie mające o nich zielonego wyobrażenia. Pozycja księży angielskich, czy szkockich jest na pewno inna niż dajmy na to — naszych, inne są też zasadnicze założenia ich pracy. Ks. Nowickiego niepokoi fakt wyraźnego lekceważenia przez Marshalla wagi grzechów nieczystych. Trzeba przyznać, że każdy czytelnik-katolik podzielił w pierwszej chwili ten niepokój. Ale tylko w pierwszej chwili. Marshall wprawdzie jako przedstawiciel „zimnego“ narodu nie pojmu-

je potrzeby tak gorącego stawiania kwestii grzechów nieczystych, jak to się robi np. w krajach romańskich czy nawet u nas, — jednakże Marshall sprawy nie lekceważy. Chodzi mu jedynie o uniknięcie nadmierne-go, jak nam się zdaje, wyobrazienia przekroczeń 6-ego przykazania ze szkodą dla innych problemów. Istnieje jeden przede wszystkim grzech — a tym jest brak miłości. Z niego płyną chciwość, egoizm, kłamstwa, fałszywe, nadużycia siły, wyzysk. Zatrzymywanie się na fakcie cielesnego przestępstwa — często nie pozwala na wejście w głąb zagadnienia. Miłość, bodajże już św. Augustyn to zauważył, nawet nieczysta — bywa czasami resztką, śladem, echem prawdziwej miłości. Wyzysk człowieka przez człowieka nic z miłością nie ma wspólnego.

I dlatego trudno jest nam się zgodzić z potępieniem książki Marshalla. Byłoby na pewno lepiej, gdyby o życiu księży i katolików ukazywało się więcej pogodnych, pociągających książek w rodzaju „Chwały córki królewskiej“

Rzecz zabawna: ledwo ucichł atak na książkę, osadzający ją surowo za apologię „idealizmu“ — spotykają ją ciągi za brutalny realizm, za „wchodzenie z kaloszami“ w sprawy święte. Tak to bywa na tym świecie...
A. P.

Paweł JASIEŃKA

WOKÓŁ KSIĄŻKI GREENE'A

Niedawno temu Ludwik B. Grzeniewski ostro szarżował na „Chwałę Córki Królewskiej“, czyniąc to przy tym tak nieopatrznie, że aż później wezwany na pomoc r. m. musiał przestąpić rejteradę. Kiedy wyszło „Sedno Sprawy“ Greene'a, zaproponowałem znajomym zakład. Twierdziłem, że z góry wiem, w jaki sposób książka zostanie zaatakowana. Zakład przeczornie przyjęty nie został. Ale prognozyki moje spełniły się co do joty. Tym razem ruszył do natarcia Tadeusz Borowski. Jego operacja bojowa rozwija się według tych samych zasad strategii, którą stosował L. B. Grzeniewski. To znaczy — żadnego zwracania uwagi na artystyczne walory książki i doprowadzona do perfekcji sztuka nieostrzegania rzeczy widocznych.

O całej katolickiej problematyce książki nie będzie w tym artykule mowy. Przyjmujemy tę płaszczyznę dyskusji, która jest dla Borowskiego wygodną i którą on sam wybrał (zupełnie tak samo jak w polemice z Grzeniewskim).

Borowski powiada, że książka Greene'a, której akcja dzieje się w jednej z kolonii brytyjskich nad Atlantykiem, stanowi obronę imperializmu. „Dobry katolik Greene udaje ślepeca“ — powiada Borowski.

Przyznaje odrzuca, że Greene istotnie nie zajmuje się wprost sprawami frontu: biali panowie — kolorowi poddani, które to sprawy są przecież też problemem natury moralnej. I to wielki problem. Ale któż — poza jednym Borowskim, pisarzem światłym i wnikliwym — zdoła nie zauważyć, że obraz bytowania białych urzędników w tej kolonii na „lewał Greene wspaniale pędzłem maczanym w kubie z farbą odrażającą i ponurą. I przekonał nas w dodatku, że jest to pejzaż realistyczny, prawdziwy.

Między białymi w kolonii żadnej istotnej, i wartościowej więzi społecznej! Karierowiczostwo, zawiść, szeptactwo, plotki, i szpiegostwo. Szpiegostwo na każdym kroku i szczybie, szpiegostwo stanowiące system i tajemnicę rządzenia kra-

jem. „Sfery gospodarcze“ — kupcy syryjscy, infernalne, zamaskowane typy pozbawione wszelkiej kultury i moralności. Bandytyzm. Prostytutki. Dom publiczny, opisany tak, że czytelnik ma wrażenie jakby przebrodził gnojówkę.

Pokażcie mi człowieka przy zdrowych zmysłach, który przeczytawszy „Sedno sprawy“ uwierzy w „misję dziejową“ Brytyjczyków w tamtej kolonii i we wszelkich innych?

„Tu jest całkiem inaczej niż w kraju“ — twierdzi Greene. Racja. Czytając tę książkę, której koloryt miejscami przypomina Dostojewskiego, zastanawiałem się, że właściwie trudno sobie wyobrazić podobną historię wśród innej scenarii niż ta właśnie, kolonialna. To wszystko by jakoś nie wypadło przekonywująco, bez akompaniamentu zgrzytania sępich pazurów po falistej blasze dachów. Jakiś, może bardzo znaczny procent odpowiedzialności za deformacje psychiczne bohaterów przypisać wypadnie roli środowiska. Środowiska białych urzędników w koloniach imperium brytyjskiego, o którym lord Curzon pisał, iż zostało powołane przez Stwórcę do celów specjalnych, a wzniosłych.

Nie znam dokładnej daty napisania „Sedna sprawy“ (odpowiedzialna jest za to spółka „Pax“, która powinna była wydrukować tę wiadomość). Przyjmuję, że stało się to zaraz po wojnie. Po roku 1945. Czyli, że — okrągło licząc — dzie sięć lat przed powstaniem „Sedna sprawy“ rozstał się z tym padolem Rudyard Kipling, główny w literaturze chorąży imperializmu.

Wszyscy znamy „Księgę dżungli“. A czy pamiętacie jak w opowiadaniu „Toomai — przyjaciół słoń“ pokazany został Sahib Petersen? Toż to prawie bóstwo wielkoduszne i wspaniałe. Albo to końcowe opowiadanie (zapomniałem jego tytułu), w którym jesteśmy świadkami debaty pomiędzy zwierzętami, służącymi potrzebom wojsk angielskich. Morał jego chyba taki, że te wszystkie konie, woły, wielbłądy i muły więcej posiadają kultury niż ludzie z kolonialnej świry emira Afganistanu

Zapytuję Tadeusza Borowskiego uroczyście i głośno:

O czym świadczy linia rozwojowa: od „Księgi dżungli“ do „Sedna sprawy“? Czy nie jest to przypadkiem dowód, iż niektórzy literaci angielscy coraz to bardziej oddalają się od zasad sir Iana Hamiltona, dla którego „wojna była rycerską baśnią, a rozszerzanie Imperium obowiązkiem“? I czy nie jest dobrze, że się o istnieniu takiej tendencji dowiadujemy? Bo najważniejsza jest właśnie tendencja, to, co się rozwija, aczkolwiek może być w tej chwili jeszcze słabe. Teza, którą marksiści Borowski powinien znać lepiej niż ja.

Trudno mi jeszcze zrozumieć dlaczego Borowski nie zaatakował pewnego artystycznego potknięcia się Greene'a, co właśnie on powinien był zrobić. Bohater powieści, Scobie, to chreślijanin o buddyjskim zabarwieniu. Wiadomo przecież powszechnie, że w buddyzmie głównym nakazem w stosunkach między istotami żyjącymi jest litość. Istnieje legenda, że Budda oddał własne ciało na pokarm dzikiemu zwierzęciu zdychającemu z głodu. Motywem postępowania Scobiego jest też właśnie litość. A Scobie jest — policjantem. I to od wielu lat. Zawód zaś policjanta — podobnie jak frontowa praktyka żołnierza — zabija, musi zabijać uczucie litości. To taka deformacja zawodowa, bez której ludzie tego fachu nie mogliby po prostu żyć.

Naprawdę, o ileż słuszniej postąpiłby Tadeusz Borowski patrząc pilnie na to, co jest w książce napisane — mniej natomiast zwracając uwagi na kolor okładki.

Unikajcie łatwizny — o, młodzienci!

Paweł Jasienka

KAZIMIERZ PIEKUT

Dożynki

*Nad polem kołują bociany i jastrzębie —
rzeczywistość tnie jak miecz błyskawicy.
Na miedzach piętują się zaspasy wstchnień,
których nie zliczysz.*

*Przyjemnie dokucza oczom kurz żłtego żyta,
kiedy lipiec kopami na rzyśkach się rozrył.
W dożynkowy wieniec wplata przodownica
dosyt.*

*Pan Bóg wyciąga miłujące ręce
i posyła swoje anioły:
zanieście żniwiarzom dzbany pełne
łaski i pieśni.
Bo ludzie muszą być szczęśliwymi
syci
i dobrzy.*

Białe miasteczko

*W białym miasteczku bezpretensjonalnie
ludzie spacerują w niedzielę po ulicach bosy,
a pośrodku rynku
kocują nieszporne psalmy i echa polne.
Wieczorem księżyc wyciąga z niebieskiego sitowia
gwiazdami nabijane wiosła
i wypływa ponad dachy srebrnym promem.*

*Czasem ból jest bardziej piekący
i ta bardziej słona.
Niekiedy noc jest czarna jak ludzkie smartwienie
— tylko nasturcje palą się na balkonach
gorącym jak miłość płomieniem.*

*Podobno ktoś ogłosił „wielką ideę“ niszczenia
białych miasteczek, nasturcji i ludzi,
i pogardę miłości i zgody.
Tego mieszkaniac białego miasteczka
zrozumieć nie umie.
... Od powietrza, głodu, ognia i wojny...*

Czytajcie
„SŁOWO POWSZECHNE“



Alan PATON

Alan Paton był do niedawna, bo aż do roku 1948, postacią w literaturze światowej zupełnie nieznaną. Dopiero podróż w roku 1947 do Południowej Afryki, dała mu okazję wykazania nieprzeciętnego talentu pisarskiego i ujawnienia zalet bystrego i wnikliwego obserwatora. Wynikiem tej podróży była powieść: „Placz, ukochany kraju” (Cry, the beloved country) o której można śmiało powiedzieć, że poruszyła cały postępowy chrześcijański zachód i skierowała uwagę na piękno Południowej Afryki, ucisk jej czarnych mieszkańców, uprzywilejowanie białej rasy i tragiczne skutki angielsko-holenderskiej polityki rasowej.

Bohaterem powieści jest stary Zulus, pastor, Stefan Kumalo, kapłan nie spreczowanego bliżej wyznania protestanckiego, który przeżywa tragedię w obliczu strasznej niedoli swojego ludu. Ze swych rodzinnych wyżyn nad Izopo wyrusza on do Johannesburga, „miasta wszelkiego zła”, w poszukiwaniu jedynego syna Absaloma, który od wielu już miesięcy nie daje znaku życia. Pastor wie dobrze, że droga do Johannesburga, to droga do zepsucia, zbrodni i zguby dla wielu spośród tubylczej młodzieży; oczekuje więc najgorszego.

Poszukiwania trwają długo, przynosząc ojcu wiele bólu i rozgoryczeń. Przy pomocy kilku życzliwych ludzi natrafia na ślady syna, dowiaduje się o jego kolejnych upadkach; tu o kradzieży, tam o złym towarzystwie, gdzie indziej o pobycie w domu poprawczym, skąd niedawno Absalom wypuszczono; wreszcie znajduje syna w więzieniu, oskarżonego o zamordowanie Artura Jarvisa, białego, który całe swe życie poświęcił sprawie polepszenia bytu czarnej rasy i walce o sprawiedliwość społeczną. W scenach rozgrywających się pomiędzy czarnym ojcem mordercy, a białym ojcem zamordowanego, Alan Paton osiąga wyżyny tragizmu.

Napisana pięknym poetyckim stylem, „Placz, ukochany kraju”, to powieść smutna, to oskarżenie systemu społecznego, który kieruje uciemiężony lud tubylczy na drogę zbrodni.

Niezależnie od tych zalet — książka Patona grzeszy nadmiarem jakiegoś humanitarnego cierpiętnictwa, nie ukazuje żadnych perspektyw wyzwolenia, czarnej ludności, które mogłyby się jedynie cokołać na drodze świadomej walki rewolucyjnej. — Istotne linie podziału zostają może nawet wbrew woli autora zamazane, a zwłaszcza razi gdy Paton kreuje na bohatera pozytywnego — człowieka, który wykazuje stanowczo zbyt daleko idącą lojalność wobec norm prawnych ciemnościelskiego systemu.

Red.

obchodów i jednym przy telefonie! To już druga zbrodnia tego rodzaju w okresie ostatnich trzech miesięcy, musimy więc stanowczo domagać się silniejszej ochrony!

(Brawa).

— Kolego Mc Laren, czy zechce pan odczytać naszą rezolucję?

**

... Twierdzą, że dotąd będziemy zmuszeni obawiać się zbrodni tubylczych, dopóki tubylcy tej ziemi nie zdobędą natchnienia do wykonywania wzniosłych zadań i nie pozwoli się im pracować dla wielkich celów. Tylko bowiem fakt, że nie posiadają oni godnych działań zadań, ani celów, zwraca ich na drogi pijaństwa, zbrodni i prostytucji. Cóż wolelibyśmy, czy praworządny, przedsiębiorczy i konsekwentny w swych dążeniach lud tubylczy, czy też społeczeństwo rządzące się bezprawiem, próżniactwem i pozbawione dążeń? Zaiste prawdą jest, że nie wiemy tego sami, bo obawiamy się skutków zarówno jednego, jak i drugiego. I tak długo póki wahały się, płacić będziemy drogę za wątpliwą przyjemność nie sprzecyzowania swjej postawy. Odpowiedź tymczasem nie leży absolutnie, chyba, że

... Ladies and gentlemen! Czyż to nie okropny skandal, że tak mało mamy policji? Dzielnica nasza płaci większe podatki, aniżeli większość dzielnic Johannesburga i cóż nam za to dają? Trzecioklasowy posterunek policji, z jednym posterunkowym do

tylko na krótko, w zwiększeniu szeregów policji i wzmocnieniu ochrony (Brawa).

— Sądzi pan więc, panie de Villiers, że powiększenie ilości szkół dałoby w rezultacie obniżenie stopnia przestępczości wśród młodzieży tubylczej?

— Jestem tego pewny, panie przewodniczący.

— Panie de Villiers, czy jest pan w posiadaniu danych, odnoszących się do procentowej ilości dzieci w szkołach?

— Panie przewodniczący, w Johannesburgu nie więcej niż czworo, z pośród dziesięciorga dzieci w wieku szkolnym, uczęszcza do szkół, a czworo nawet jedno nie osiągnęło szóstego oddziału. Szesćciorgo dzieci kształci się na ulicach.

— Panie przewodniczący, czy mógłbym zadać panu de Villiers jedno pytanie?

— Ależ proszę bardzo, panie Scott.

— Jak pan sądzi, panie de Villiers, kto powinien opłacać te szkoły?

— My sami powinniśmy je opłacać. Jeśli postanowimy czekać póki tybylcy rodzice będą w stanie sami je opłacić, przyjdzie nam w inny sposób ciężko za to odpokutować.

— A czy nie sądzi pan, panie de Villiers, że rozwój szkolnictwa dostarczy jedynie sprytniejszych przestępców?

— Jestem przekonany, że tak nie będzie.

— To pozwoli pan dać sobie przykład. Pracował u mnie chłopiec który ukończył sześć oddziałów Prawdy wy gentleman, muszka, kapełusz na bakier, skarpetki — ostatni był mody. Traktowałem go dobrze i płaciłem dużo. Czy uwierzy pan, panie de Villiers, że ten właśnie skończył lajdak...

**

— Wiesz, Jackson, uważam, że powinni wprowadzić przymus w stosowaniu przepisów rezerwatowych.

— Ależ mówię ci, że przepisy rezerwatowe nie dają żadnych rezultatów.

— Dadzą, jeśli zastosuje się przymus.

— Przymusu nie da się zastosować. Czy wiesz o tym, że obecnie posyłamy do więzień załamane tych przepisów sto tysięcy tubylców? Tam stypkają się oni z z prawdziwymi przestępcami.

— Nie, Jackson, nie jest aż tak źle. Wiem, że próbuje się używać ich do prac drogowych, rolnych i innych.

— Może ty wiesz lepiej. Nie wpływa to jednak na moją tezę, że przymus w stosowaniu przepisów rezerwatowych nie da się wprowadzić. Możesz wysłać ich do prac drogowych, rolnych, lub wszystko jedno dokąd, nawet do diabła, ale nie powiesz mi, że stawianie przed sądem stu tysięcy ludzi jest zdrowym objawem.

— Jaki więc byłby twój plan?

— A właśnie. Pojęcia nie mam, co bym zrobił. Twierdzą jednak stanowczo, że przepisy rezerwatowe nie dają żadnych rezultatów.

— Byliśmy mającym w ogródzie zoologicznym, ale to nie się tam dzieje jest naprawdę nie do zniesienia. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie przeznaczają osobnych dni dla tubylców.

— Moja droga, ja — prostu nie chodzę tam więcej w niedzielę. Chodzimy z Jasiem i Penelopą w inne dni. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że ci biedacy nie mają dokąd pójść.

PŁACZ UKO

— Czemu więc nie wybudują dla nich jakichś domów rozrywkowych?

— Kiedy chcieli zbudować dla nich ośrodek rozrywkowy na terenach polo-golfowego w Hillside, podniósł się taki krzyk, że musieli projekt odrzucić.

— Ależ moja droga, przecież te byłoby wykluczone. Hałas byłby nie do zniesienia.

Siedzą więc też na chodnikach

— Cierzą po rogach ulic, a wierz mi, że tam hałas jest równie nieznośny.

— Ty nie masz zresztą czym się przejmować, bo w twojej okolicy nie ma z tym zamartwienia.

— Nie bądź złośliwa, moja droga. Czemu nie mieliby wybudować dwóch ośrodków rozrywkowych i dać im bezpłatny dojazd autobusami do tych miejsc.

— Gdzie na przykład?

Abu'l Kassem Firdausi *)

Spotkanie Zala

(Z poematu „Szach Nameh“)

Już słońce w duli skryto twarz opłomienioną,
już wrótnie do dworzyszczu i dzwierze zamknięto
i słuch w pęk zesuto, gdy przy Zalu stanie
służka pięknej Rudabeh i powie:
— Chodź, panie,
wszystko gotowe.

Idźcie we dworzyszczu księżę,
jak się godzi iść ku niej, z którą losy wiąże
na zawsze.

Czarnooka i różanolica,
smukła, ni cyprys, pełnią uwieńczon księżycą,
panna królewska czeka na wieży swych dworzyszczu
i, ujrzawszy Destana, tklivie się zatrwoży
i woła:

— Tutaj losy przywiodły cię dobre,
o panie! Szczęść się, szczęść się twojej duszy
chrobrej,

ojca dzielnego synu i dziedzicu dzielny.
Niechaj Bóg cię otoczy łaską nieśmiertelny
i niech pod twoje stopy niebiosów nachyli.
Służki mi opisały cię jak najmilej
i nie skłamały. Nocą, sam, przybyłeś pieszko
zaraz się stopy twoje spoczynkiem ucieśzą.

Stucha Zal pozdrowienia, co, jak pieśń, roztrąca
cichość i widzi piękną, podobną do słońca.

I oto Zal odpowie:

— Bądź mi pozdrowiona!
Ileż razy kłękałem pod gwiazdą północny
i prosiłem u Boga łaski i pomocy,
abym cię oglądał! Jam dziś szczęście spotkał,
kiedy mnie tak pozdrawiasz, o, królewno słodka.

Jedną tylko się smucę rozłąką i chmurzę:
ja, u wrótni, na dole, ty, za wrótnią, w górze,
pragnienie zbliża, mur nas od siebie oddala.
Co robić?

Więc Rudabeh warzy słowa Zala
i, podobna do Peri, tęsknocie księżęcej
współczuje i unosi ramiona dziewczęce,
muska bujne kędziory i nagle warkocze
ciemne, jak noc, gdy nawet księżyc się omroczył,
rozemknie spod natęczki, rozwinię, rozplecie
i ciska wdół z okrzykiem:

O, Pehlewi, dziecię
odważnych, prędzej, śpiesz się, lwim pokrzep
westchnieniem

piers szeroką i siły spręż w sobie na mgnięcie,
i ogarnij, i pochwyć warkocz, wić tę ciemną
i wespnij się, tu, w księżyc i stawaj przede mną
w promieniach.

Stowom panny prześlicznej się dziwi
syn chrobrego władcy, lecz się nie przeciwi.
Całuje warkocz. Panna czuje pocatunek.
Powiada Zal:

— Ej, kłnę się na tę jasną tunę,
na te wśród nieba jutrznie błyszczące, na słońce,
że nigdy nie uczynię krzywdy miłującym,
ani serc oszalałych sięgną kiedyś groty.

Rzekł i z dłoni służebnej czarne bierze sploty,
zawiąże na warkocz supel, rzuca w górę
do Rudabeh i skokiem zawisa nad murem
i siada.

A do Peri podobniejsza panna
pozdrawia go i reke uściśnie Destana

*) Firdausi — wielki poeta perski
z X w. po Nar. Chr.

Tłum. R. J. ZATORSKI

CHANY KRAJU

— Ależ ty jesteś nudna, moja droga. Dlaczego na przykład nie w City?

— I ileż czasu zajmie im dojazd tam? Ile godzin wolnego ty dajesz w niedzielę swoim służącym?

— Ach, za gorąco na taką dyskusję. Moja droga, weź, proszę, swoją rakieta. Wołają nas. Popatrz, oto pani Harvey i Thelma. Tylko pamiętaj, żebyś grała jak szatan, słyszysz?

Niektórzy domagają się natychmiastowego podziału Południowej Afryki na odrębne terytoria, gdzie biali żyć będą bez czarnych, a czarni bez białych, gdzie czarni sami uprawiać będą swą ziemię, kopać swe minerały i administrować według własnych praw. Inni wołają o zniesienie systemu, który ściąga mężczyzn do miast bez żon i dzieci, rozbijając w ten sposób szereg rodzin i człowieka,

a w zamian żądają wybudowania wiosek dla robotników kopalnianych i przemysłowych.

A i kościoły także wołają. Kościoły używające języka angielskiego wołają o rozszerzenie akcji szkolnictwa, o zniesienie ograniczeń nałożonych na rozwój tubylecznych i ich robotniczych i indywidualnej inicjatywy tubylecznej. Kościoły używające języka Afrikaans pragną, aby tubylecy uzyskali możliwości rozwoju po swej własnej linii i napominają swych wiernych, że upadek wiary w rodzinie, gdzie służba brała kiedyś udział w modlach domowych, przyczynił się częściowo do moralnego rozkładu ludności murzyńskiej. Zrównania wobec prawa nie żąda jednak ani kościoły, ani państwo.

Tak, tak, głosów są setki i tysiące. Ale coż można zrobić, gdy jeden woła to, drugi o coś innego? Któż wie, jak stworzyć ostoję pokoju z tego kraju, w którym czarni tak bardzo przewyższają liczebnie białych? Niektórzy mówią, że ziemia ma dość bogactw dla wszystkich, że więcej dla jednego nie oznacza wcale mniej dla drugiego i że awans społeczny jednego nie oznacza poniżenia drugiego. Mówią oni, że nędźnie opłacany robotnik, to w rezultacie zbiednienie całego narodu, a lepiej opłacana praca, to podwyższenie konsumpcji i zwiększenie produkcji przemysłu i wytwórczości. Inni znów mówią, że polityka taka jest niebezpieczna, bo lepiej opłacany robotnik będzie nie tylko więcej kupował, lecz również więcej czytał, myślał, pytał i nie będzie już dłużej chciał pozostać niemym i poniżonym.

Kto wie, jak mamy kształtować ten kraj? Boimy się przecież nie tylko utraty naszych majątków, lecz również utraty naszej wyższości i naszej białości. Niektórzy, owszem, przyznają, że przestępczość tubylecza jest złem, ale czyż to właśnie nie byłoby stokroć gorsze? Czyż nie lepiej utrzymać nasz stan posiadania, a cenę tego opłacać trwogą? Inni jednak pytają, czy trwogę taką znosić można bezustannie? I czy to nie ta właśnie trwoga zmusza w ogóle ludzi do rozmyślań o tych sprawach?

Nie wiemy. Nie wiemy. Będziemy dalej żyć z dnia na dzień, uzbrajając drzwi większą ilością zamków; kiedy ta zła suka sąsiadów oszczeni się niedługo, weźmiemy od nich mądrego, złego psa i mocniej trzymać będziemy w dłoniach nasze torebki. Trzeba się będzie obyć bez oglądania nocą wspaniałości afrykańskich drzew i bez miłosnych wzlotów pod gwiazdzystym niebem. Przystaniemy wracać nocą do domu w nietrzeźwym stanie i obejdziemy się bez spacerów po jasnym od gwiazd łąkach. Będziemy ostrożni i usuniemy z normalnego trybu życia to i tamto, a otoczmy się murem ostrożności i bezpieczeństwa. Życie nasze straci rozmach, lecz wciąż będzie to życie wyższych istot; żyć będziemy w strachu, lecz przynajmniej nie będzie to strach przed czymś nieznanym. Głos sumienia zostanie stłumiony; płomień życia nie będzie zgaszony, lecz ukryty i przekazany pokoleniu, które na nowo go roznieci, a stanie się to pewnego dnia, który dotąd jeszcze nie zaświtał. Kiedy i jak dzień ten nadejdzie, o tym w ogóle myśleć nie będziemy.

Dzisiaj wieczorem odbędzie się zebranie w Parkwold, takie same jak wczoraj odbyło się w Turffontein i jakie

jutro wieczorem odbędzie się w Mayfair. Zgromadzeni żądają będą zwiększenia sił policyjnych, cięższych wyroków dla czarnych włamywaczy i karę śmierci dla takich spośród nich, którzy dokonując włamania, posiadają przy sobie broń. Niektórzy żądają wprowadzenia nowej polityki wobec tubyleców, która pokaże im kto jest panem tej ziemi oraz ukroczenia działalności Kafferboeties*) i komunistów.

Wakacja lewicowa, którą zbiera się dzisiaj, by dyskutować na temat: „Długofalowej polityki celem zlikwidowania przestępczości wśród tubyleców” i zaprosiła zarówno europejskich, jak i tubyleczych działaczy, by przedstawili swój punkt widzenia. Związek Katedralny dyskutować będzie także dzisiaj na temat: „Istotnych przyczyn przestępczości tubylecznej”. Ponury cień wieści będzie jednak nad tym zebraniem, bo główny prelegent, pan Artur Jarvis został wczoraj w nocy zastrzelony w swym domu w Parkwold.

Placz ukochanego kraju nad losem niezrodzonego dziecka, które odziedziczy nasz strach. Niechaj nie kocha ono tej ziemi zbyt gorąco. Niechaj nie śmieje się ono zbyt radośnie, gdy woda spływa z pomiędzy palców robawionych dłoni, ani niech nie stoi zbyt cicho, kiedy zachodzące słońce ozłaca przestrzenie łąk. Niechaj nie wzrusza się, gdy słyszy śpiew ptaków tego kraju, ani piech nie wkłada zbyt wiele serca w miłość do jakiegoś szczytu, lub doliny. Strach bowiem okradnie go ze wszystkiego, jeśli da z siebie zbyt wiele.

— Ksiądz Msimangu!
— Aha, pani jest panią Ndlela z End Street.

Proszę księdza, policja była u mnie.

— Policja?

Tak dowiadywali się o syna starego pastora. Szukają go.

— Za co, matko?

— Nie powiedzieli mi.

— Czy za coś złego, matko?

— Wygląda, że tak.

— No i co dalej, matko?

— Bałam się, umfundisi,**) więc dałam mu adres pani Mkize, na Dwudziestej trzeciej alei Nr 23, w Aleksandra. Jeden z nich powiedział wtedy, że owszem, ta kobieta nieraz już była wieszana w podobne sprawy.

— Dałaś im jednak ten adres?

— Stał cicho w drzwiach.

— Czy źle zrobiłam, umfundisi?

— Nie matko. Nie zrobiłaś źle.

— Bałam się bardzo.

— Takie są przepisy prawa, matko. A my musimy według nich postępować.

— Dziękuję ci, umfundisi.

Dziękuję prostej kobiecie i żegna się z nią. Stoi przez chwilę bez ruchu, potem szybko obraca się i idzie do swego pokoju. Z szufłady stolika wyciąga kopertę, a z niej banknoty. Patrzy na nie posępnie, a potem zdecydowanym ruchem wsadza do kieszeni i chwytając za kapelusz. Ubiera się do wyjścia, potem spogląda niepewnie przez okno na dom pani Lithebe, potrzasa jednak przecząco głową. Nie, nie powie mu o tym. Jest jednak za późno, bo gdy otwiera drzwi wyjściowe, pastor Kumalo stoi przed nim.

— Czy wychodzisz, mój przyjacielu?

Msimangu milczy.

— Tak — mówi wreszcie.

— Mówiłeś przecież, że będziesz pracował przez cały dzień w swoim pokoju.

*) Kafferboeties — pogardliwe słowo, pochodzące z Afrikaans, określające niegdyś białych, bratających się z czarnymi, a obecnie każdego pracującego dla polepszenia bytu czarnych.

**) umfundisi — oznacza „pan” albo „ksiądz”.

Msimangu chciałby zdecydowanym tonem zapytać, czy nie wolno mu robić, co mu się podoba, lecz coś powstrzymuje go. — Wejdz. — mówi.

— Nie chcę ci przeszkadzać, przyjacielu.

— Wejdz. — powtarza Msimangu i zamyka drzwi. — Przyjacielu, była tu pani Ndlela z tego domu przy End Street, Sophiatown, który odwiedziłeś.

Kumalo słyszy poważny ton głosu tamtego. — Czy są jakieś wieści? — pyta, lecz w głosie czai się strach.

— Tylko takie, — odpowiada Msimangu — że policja przyszła do jej domu w poszukiwaniu za twoim chłopcem. Dała im adres pani Mkize w Aleksandra.

— Za co poszukują chłopca? — pyta Kumalo cichym, drżącym głosem.

— Nie wiem. Właśnie chciałem teraz tam pojechać.

Kumalo spojrzawszy na niego tak smutnym i pełnym wdzięczności wzrokiem, że rozdrażnienie tamtego minęło zupełnie. — I chciałeś pojechać sam? — zapytał staruszek.

— Tak, lecz teraz, kiedy ci już o tym powiedziałem, możesz pojechać ze mną.

— W jaki sposób dostaniemy się tam, przyjacielu? Autobusy nie kursują.

— Chciałem jechać taksówką. Mam pieniądze.

— Ja także mam pieniądze i nikt poza mną nie powinien za to płacić.

— To nie będzie drogo kosztować.

Kumalo rozpiął marynarkę i wyjął z ochotą portfel. — Mam tu pieniądze — rzekł.

— Użyjemy ich więc. Chodź, poszukamy taksówki.

— Pani Mkize!

Cofnęła się wrogo.

— Czy policja była tutaj?

— Byli niedawno.

— Czego chcieli?

— Szukali chłopca.

— I co im powiedziałaś?

— Że już rok temu wyprowadził się stąd.

— I dokąd pojechali?

— Do Shanty Town.

— Na adres, którego wtedy nie znałaś, prawda? — rzekł zimno.

Sporzała na niego nadąsanym wzrokiem. — Cóż miałam zrobić? — tłumaczyła się. — Przecież to była policja.

— Trudno. Jaki adres im podałaś?

— Nie znam żadnego adresu. Powiedziałam im tylko, że wyprowadził się do Shanty Town. — Ogień w nią wstąpił. — Mówiłam księdzu przecież, że nie znam żadnego adresu!

— Pani Hlatswayo!

Kobieta o miłej twarzy uśmiechnęła się i poprosiła ich do mieszkania.

— Nie, nie wejdzimy. Czy policja była tu?

— Tak, była, umfundisi.

— I czego szukali?

— Szukali chłopca, umfundisi.

— Za co, matko?

— Nie wiem, umfundisi.

— Dokąd poszli?

— Do domu poprawczego, umfundisi.

— Powiedz mi tak w zaufaniu, czy wyglądało to na coś groźnego?

— Nie wiem, umfundisi.

— Zostań z Bogiem pani Hlatswayo.

— Idź z Bogiem, umfundisi.

— Dzień dobry, przyjacielu.

Tłum. Janusz KAWECKI

i Rudabeh

i uchodzą, oboje szczęściem odurzeni, w głąb dworzyszca. Rudabeh na licu się mieni i trzyma dłoń księżcia.

Komnaty przed nimi królewskie i jaśnieją blaskami złotymi, jak raje, pełne światła. Rząd służebnie stoi i czyta z diamentowych źrenic pani swojej, Rudabeh, wołę cichą jej oraz życzenie kryjome. Oczy Zala uderza olśnienie: Jej to lice, kędziory w srebrzystej natęczy, jej dziewicze powaby w tej przeźroczej tęczy, w pierścieniach, ramiennikach, zauszniczkach

cennych, które zdają się z kształtu, ni pszczoły w wiosennym ogrodzie. A jagody królewskiej tej panny są jakoby wśród lilij piękne tulipany, a kędziory za kędziorem się wiją. Pehlwi, przy księżyczej królowie słoneczny królwiec, na czole, jak przystoi, ma z rubinów diadem

i krzywy miecz na piersi. Spoglądaniem radym obejmie wraz Rudabeh owe sobie miłe ramiona i uwielbi zakletą w nich siłę, krzepkość, co łamie cedry, skatą w niebo śniga, a jeno woli bożej nie słuchać się wdryga. Zaś im więcej nań patrzy, tym kocha goręcej. W najstodszy upojeniu Zal całuje ręce Rudabeh.

Lwu czyż uwaknie się z objąć kozica?

I rzekł Zal do królowej:

— O, księżycznolico, o, srebrna, cyprysowa, która piżmem pachniesz. Wiem, piękna, że na ciebie Minuczer się zachnie i że te dziewostęby Sam, Nerimanowie, mój ojciec, będzie ganil i biczem synowi groził, a nawet śmiercią. Wszelako nie stoje ani o ciało, ani o życie się boje. Bo mdłe zetli się ciało, życie zgaśnie: żatuj, minęś, biedny czteczę, zawijaj się w catur. Ale przysięgam, panno, przebóg, na to ramię sprawiedliwe, że wiary ci nigdy nie złamię i że Boga ublagam żarliwymi modły, by wyzenał nienawiść i złość, które zwiodły Minuczera i Sama pysznego koroną, królów nad króle. Miła tyś jest moją żoną przed Bogiem i przed światem.

A na to królowna

Rudabeh:

— Bóg mi świadkiem, panie, jakom rzewna słodko się kłęta kłatwą i jego imieniem, żem ślubila Zalowi po ostatnie tchnienie, że Zal złocistowłosy dla mnie Perhewanem, on moim skarbem, chwałą, duszy, ciała panem wiek wieków.

... W błogie rozkosz chwyciła ich pęta i kotłusa i tuli, aż się zapamiętał Zal i luba, do Peri podobna, Rudabeh.

A już z ogrodu powiew nadlatuje, słaby jeszcze od snu, już porza na wschodzie się pali, już surmy i kotły brną w cichej dali u namiotów różanych w obozie księżcia. Dopieroż Zal się ocknie w pieściwej objęciach Rudabeh i we dwoje płaczą rychłej pory rozstania:

— Ach, że razeł tak skory, tak skory.

Daruj nam jeszcze chwilkę, niepoczwine słońce. Żegna Zal pocałunkiem jej lico płonące i powieki i z muru poza wrótnię skacze i znika.

Według J. Mohla tłumaczył Janusz Kaweck

TYDZIEŃ KULTURALNY

W Kraju

NAGRODY PAŃSTWOWE

Prezydium Rządu na wniosek komitetu Państwowych Nagród Artystycznych przyznało nagrody artystyczne — pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia — za rok 1950.

NAGRODY ARTYSTYCZNE

W dziedzinie literatury.

Nagrody pierwszego stopnia:

1) WŁADYSLAW BRONIEWSKI — za całokształt twórczości, 2) MIECZYSLAW JASTRUN — za „Adama Mickiewicza“, 3) LEON KRUCZKOWSKI — za „Niemcy“.

W dziale plastyki.

Nagrody pierwszego stopnia:

1) WŁADYSLAW DASZEWSKI — za całokształt twórczości ze specjalnym wyróżnieniem plastycznego opracowania sztuk „Jęgor Bułyczow“ oraz „Krakowiacy i Górale“, 2) J. JARNUSZKIEWICZ i ST. LISOWSKI — za pomnik bohaterów Armii Czerwonej.

W dziale muzyki.

Nagroda pierwszego stopnia:

ZESPÓŁ PROFESORÓW przygotowywujący kandydatów do IV Konkursu Chopinowskiego (DRZEWIECKI, EKIER, HOFFMAN, SZPINALSKI, SZTOMPKA, KAZUROWA, WOYTOWICZ, ŻURAWLEW).

W dziale teatru.

Nagrody pierwszego stopnia:

1) LUDWIK SOLSKI, 2) ALEKSANDER ZELWEROWICZ.

W dziale filmu.

Nagrody pierwszego stopnia

— nieprzyznane. Nagrody drugiego stopnia: 1) Zespół twórczy FILMU „CZARCI ŻŁEB“ (KAŃSKI, FORBERT i inni), 2) Zespół twórczy FILMU „SZEROKA DROGA“ (GORDON, MAŁCUZYŃSKI, WIERNIK, WOYSZNIS, SAMUCEWICZ).

W dziale architektury.

Nagrody pierwszego stopnia:

1) Zespół „PRACOWNIA W-Z“ za pracę nad Trasą i Mariensztatem (SIGALIN, KNOTHE, JANKOWSKI, STEPIŃSKI, SKIBNIEWSKI), 3) architekci J. ZACHWATOWICZ i W. BIE-

GAŃSKI — za prace koło konserwacji zabytków. e NAGRODY NAUKOWE

Prezydium Rządu, na wniosek Komitetu Państwowych Nagród Naukowych — przyznało państwowe nagrody naukowe — pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia — za rok 1950. Otrzymał je (podajemy tylko nagrody pierwszego, ew. drugiego stopnia).

W dziedzinie nauk technicznych.

Nagrody pierwszego stopnia:

prof. inż. W. WIERZBICKI (Warszawa) za określenie współzależności bezpieczeństwa w budownictwie.

W dziedzinie nauk rolniczo-lesnych.

Nagroda pierwszego stopnia:

prof. dr. C. KONEFEJSKI (Warszawa) za prace w dziedzinie mechanizacji rolnictwa. W dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych.

Nagroda pierwszego stopnia:

prof. dr. T. MARCHLEWSKI (Karków) — za badania w dziedzinie biologii.

W dziedzinie nauk humanistycznych.

Pierwszej nagrody nie udzieleno nikomu.

Nagrody drugiego stopnia:

1) dr. K. BADECKI (Kraków) — za całokształt pracy bibliograficznej i edytorskiej i wydobycie na jaw postępowego nurtu w polskiej literaturze mieszczańskiej XVII w. 2) ZESPÓŁ KIERUJĄCY BADAŃMIAMI nad początkami państwa polskiego w składzie dyr. Z. KEMPIŃSKI, prof. A. GOEYSZTOR, prof. K. MAJEWSKI, prof. Z. RAJEWSKI — za dotychczasowe wyniki badań wykopaliskowych i koncepcyjnych.

W dziedzinie nauk lekarskich.

Nagrodę pierwszego stopnia uzyskał zespolony laureat nagrody im. W. Pietrzaka — prof. dr. L. HIRSZFELD (Wrocław) za całokształt dotychczasowego dorobku naukowego, a w szczególności za wkład do akcji masowego zwalczania chorób wenerycznych i do diagnostyki duru brzusznego.

W dniu Święta Odrodzenia pracownicy „Nowej Huty“ wydali — przy czynnej pomocy dziennikarzy zawodowych — pierwszy numer czasopisma Nowej Huty — p.t. „Budujemy Socjalizm“.

Przy budowie drogi robotnicy Nowej Huty odkopali trzy przedhistoryczne piece garncarskie stanowiące już trzecią w tej okolicy osadę garncarską pochodzącą z IV-ego stulecia.

W Krakowie urządzono w Muzeum Przemysłu Artystycznego wystawę szkła i wyrobów ceramicznych. Pokazano m. in. garncarstwo ludowe, majoliki, kamionkę, porcelanę, stare kafele polskie itp.

W Rzeszowie powstał oddział Związku Zawodowego Dziennikarzy RP.

W Zdunowie pod Szczecinem uruchomiono jeden z większych w Polsce, a równocześnie pierwszy na Pomorzu Zachodnim, oddział chirurgii

plucnej. Rozporządza on 108 łóżkami w 30 salach oraz nowoczesniejszymi urządzeniami medycznymi.

W Zakopanem trwają nadal prace naukowo - odkrywcze jaskiń tatrzańskich. W jaskini w Magórze odkryto w ciągu ubiegłych 12 miesięcy groty i korytarze nietknięte stopą człowieka. Ostatnio odnaleziono jeszcze jedną grootę, prowadzącą w głąb, być może aż do Hali Gasienicowej. W jaskiniach odkryto liczne ślady niedźwiedzi jaskiniowych, większych od znanych obecnie. Zwierzęta te pochodzą z okresu między II a III epoką lodową. Ponadto znaleziono ślady pochodzące najprawdopodobniej od człowieka jaskiniowego, a mianowicie narzędzia wykonane z kości niedźwiedziej. W Europie nie istnieje inne miejsce, obfitujące w tak wielką ilość dobrze zachowanych kości zwierzęcych.

Gdańsk. Prace wykopaliskowe doprowadziły do odkrycia osady słowiańskiej z 11 i 12 wieku, ostatnio odsłonięto piątą warstwę domów i ulic. Znalaziono liczne przedmioty.

Rzeszów. Kolumna ruchomej wystawy gospodarce w okresie letnim odwiedza miejscowości woj. rzeszowskiego (Przemysł, Rzeszów, Jarosław, Gorlice, wieś Kamień i Mielec).

Młociny. Muzeum Kultur

Ludowych, mieszczące się czasowo w Młocinach, otworzyło początek działu etnografii pozauropiejskiej, a mianowicie wystawę sztuki ludów Afryki murzyńskiej i Oceanii. Objęło one rzeźbę, maski obrzędowe oraz sprzęt artystyczny.

W Warszawie

W Warszawie bawiła przez cztery dni delegacja uczonych chińskich w składzie: Wu Juszun, Wang Kan-cheng, Hua Loo-Keng, Yun Tse-cziang.

W Warszawskiej Akademii Medycznej otworzony będzie z nowym rokiem szkolnym specjalny oddział pediatryczny, obejmujący czwarty i piąty rok studiów.

Wnuczka Adama Mickiewicza — Maria Mickiewicz podarowała Muzeum Narodowemu w Warszawie szereg cennych pamiątek mickiewiczowskich: szyć, wydawnictwa i dokumenty z których część stanowiła własność Adama Mickiewicza.

Z okazji Święta Odrodzenia nadano szereg odznaczonych dziennikarzem. Sztandar Pracy II klasy otrzymali red. red. Ro-

man Juryś i Bolesław Wójcicki. Złote Krzyże Zasługi otrzymali red. red. Edmund Osmańczyk, J. A. Szczepański (Jaszcz), S. Sachnowski (Jacek Wołowski), Bronisław Wiernik, oraz 14 innych. 39 dziennikarzy i korespondentów robotniczo chłopskich otrzymało Srebrne oraz 32 brązowe Krzyże Zasługi.

Do ogrodu Saskiego powróciło 25 posągów nimf i bożków mitologicznych, ustawionych tam za króla Poniatowskiego, częściowo uszkodzonych w czasie Powstania, obecnie odnowionych.

22 lipca uruchomiono w Warszawie nową, najsilniejszą z polskich, krótkofalową radiostację nadawczą, której fale docierać będą do wszystkich zakątków kuli ziemskiej. Otrzymała ona nazwę „Radiostacji Pokoju“.

Teatr

Z TEATRÓW KRAKOWSKICH

„Uczone biatogłowy“ czyli, jak się u nas mówi potocznie o tym przedstawieniu, „Sawantki“ Moliere'a są najświetniejszym osiągnięciem tegoż w sztuce na scenie Starego Teatru i w ogóle należą do najwspanialszych, jakie widzieliśmy na tej scenie od czasu jej powstania po wojnie.

Wszystko: gra, reżyseria, kostiumy, charakterystyka, oprawa sceniczną, stoi na najwyższym poziomie i harmonizuje z sobą doskonale wytworząc całość *non plus ultra*. Odtwórca roli Moliere'a w prologu „Improwizacja w Wersalu“ (a następnie Chryzala w samej komedii) ucharakteryzowany na Jouveta przyswoił sobie sposób jego gry dając w ten sposób kreację nieprześcignioną. Całe to przedstawienie, to klejnot w przeszłości, stylowej oprawy. Ilustracja muzyczna w interludiach zapewne bardzo dobra, osnuta została na motywach włoskich z XVII wieku, o czym się dowiedzieliśmy z programu, ponieważ wskutek nieustannej rozmowy otoczenia urozmaiconej kaszlem nie słyszałam ani jednej nuty.

W przedstawieniu „Balladyna“ włożono niezmiernie wiele pracy i wysiłku artystycznego przystępując do tego z całym pietyzmem zarówno ze strony dyrekcji i reżyserii jak i ze strony całego zespołu aktorskiego, plastycznego, muzycznego itd. Wysiłek ten znać było na każdym kroku. A jaki stąd rezultat?

Wyznać muszę, że widując przez całe moje życie „Balladynę“ w najrozmaitszych obsadach i sposobach inscenizacji, zawsze doznaję choć oczywiście z dużymi zastrzeżeniami — tego samego wrażenia, że... „ideał sięgnął bruku“. (A raczej w tym wypadku „desek“). Czarodziejska fantazja poety i wszystkie związane z tym przeżycia, jakich się doznaję przy czytaniu, rozpryskują się i muszą się rozpryskać przy zetknięciu z rzeczywistością, choćby postawioną na poziomie najwyższym, i na to nie ma rady. Doskonałe rozumieństwo Wyspiańskiego, który miał inscenizować „Balladynę“ (do czego zresztą nie

doszło) zamierzał usunąć z niej zupełnie świat fantastyczny...

Za każdym wznowieniem tego utworu kierownictwo przystępuje doń inaczej, którą zaś realizację uważa należy za lepszą, to ocena trudna; właściwie mówiąc, w każdej są plusy i minusy. W obecnym przedstawieniu bardzo dobre były sceny zbiorowe. Zarówno swaty jak scena na pogorzeli, w namiocie Balladyny i w sali tronowej wyreżyserowane były doskonale, pełne ruchu i barwy w oryginalnie pomyslane strojach. Złote światła w tym wypadku żywo i malowniczo.

Tam gdzie występuje świat fantastyczny uderzało, podobnie jak przy wystawieniu w zaprzyszłym sezonie „Snu nocny letniej“, zupełnie zatracenie charakteru baśniowego. Przede wszystkim dekoracja z ogromnymi, masywnymi, potwornie popokrekanymi kikutami na tle otwartego o smutnie bladym za harwieniu nieba, ani trochę nie wywoływała wrażenia lasu, przemiana zaś Grabca w wierzbę była jakimś groteskowym nieporozumieniem. Zamiast wierzby płaczącej, która się „skarży gdy ją ptaszek trąca“, która „pięknymi listkami rozpostarła“ i „kłania się kwiatom, niebu“ wyrosło z ziemi coś krepkiego i pekatowego, pośrodku między kaktusem a fikusem, o dużych liściach grubych i mięsistych... Dalej oświelenie. Wyobraźnia domaga się tutaj konieczności światła zielonawego, takiego jakie panuje w lesie, o ile zaś potrzeba daną postać oświetlić reflektorem, należało by posługiwać się barwami rozmaitymi, a nie zawsze tym samym, jaskrawym blaskiem dziennym rozpraszającym wszelką uludę. Wszak te postaci stwarzały ten, który mówił o sobie, że „po głowie chodzą“ mu „same jakieś światła białe, czerwone, zielone, jak na tła złote rzucone“... Nawet kiedy Balladyna mówi, że „niebo takie zapalone jak krew“, niebo (bynajmniej nie ukazujące się pomiędzy pniami drzew) jest wciąż jednostajne blade i bezbarwne.

Choćliki, zarówno jak i Puck w zaprzyszłym sezonie „Śnie“

szekspirowskim jest przerażająca karykatura. Zamiast swa wolnego, lekkiego jak motyl tworzy mamy wlochatego, ciężkiego Kalibana, i śmiech po prostu porywa, kiedy Goplana rozkazuje go za karę zamknąć w muszli i puścić na jezioro... chyba że to będzie usunięta teraz z teatru muszla suflera... Sama zaś Goplana w sukience po kolana, z krótkimi rękawkami, dekoltowanej w nieprzewidywanych miejscach, niczym nie przypominała postaci „z mgły i galarety“.

„Czarów“ w chacie wdowy w ogóle nie było. Wszyscy zamiast siedzieć na ławie wśród zapadającego niespodzianie zmroku stali na środku izby w pełnym świetle. Skierka oczywiście tak w biały dzień nie mógł wsunąć dziewczętom na głowę czarodziejskich wienieców i w ogóle pojawiał się tylko chwilowo tak, iż jego słowa: „zakończone czary“ przechodzą bez wrażenia u widzów, a biedny Kirkor w jakimś nieprawdopodobnym stroju opakowany tak jak gdyby miał przemycić przez granicę, nie mógł się w ogóle poruszać i przepadał w tym bez śladu owa przesłuchana zaduma, z jaką winna być odegrana cała ta scena.

Można by jeszcze omawiać wiele szczegółów, ale ostatecznie to wszystko jedno. Nieporównana i niedościgniona fantazja Słowackiego jest i tak nieprzetłumaczalna na scenę zwłaszcza, że jest to w tym wypadku jeszcze i fantazja na wskroś malarska, bo przecież ten poeta był także urodzonym malarzem.

Był jednak ponad to również i muzykiem — muzykiem słowa. Temu pół wieku z górą Kazimierz Tetmajer powiedział o rozpaczonym wykrzyku Balladyny: „Wiatr za mną goni itd.“, że „te pięć wierszy, to pięć brylantów w złoto oprawnych“. To powiedzenie można by rozciągnąć i o wiele dalej. Toteż nie dosyć jest recytować wiersz Słowackiego poprawnie. Ten wiersz wniósł być opracowany aż do pełni brzmienia tak jak muzyka symfoniczna. Pod tym względem można powiedzieć, że wypadło to nie najgorzej ale i nie najlepiej, niektóre interpretacje bez zarzutu, a na

ogół lepiej u mężczyzn niż u kobiet.

Leez to wszystko, to dopiero jedna strona ar. Złota. Druga, najważniejsza na scenie jest sam dramat. Owa tragedia równa szekspirowskim. Niezależnie od deklamacji są tam, podobnie jak u Szekspira, poszczególne słowa, w których zawiera się taki ogrom treści, że otwierają one wprost niezgłębione możliwości wyrazu dla aktora. Tak, leez to znowu wymaga pierwszorzędnych sił aktorskich. Przede wszystkim postać tytułowa, to rola dla skończonych tragiczki świadomości wszystkich arkanów swej sztuki. Taką artystką teatru krakowskiego nie rozporządza. W tych warunkach mniej się uniesienie scen mających na celu stopniowo wzmaganie efektów dramatu, jak scena zabiłstwa Gralona. W każdym jednak razie uderza brak sceny z oślepną Wdową u Pustelnika. Natomiast przywrócono niegrywaną prawie nigdy scenę na pogorzeli z widzą na zawartą w niej nutę krywdy społecznej. Z tego samego względu w końcowym momencie tragedii wprowadzono na scenę tłum, który wtargnął do zamku i bierze udział w okrzyku: „Pociąć ją na ćwierci“.

Na ostatku jeszcze jedna uwaga. Na afiszach (zarówno jak i w programach sprzedawanych w teatrze widnieje w tytule określenie: „tragedia“ podobna do starej ballady“. Określenia tego użył poeta prywatnie, w liście do matki. Ponieważ jednak nie powtórzył go w tytule oddając rzecz do druku, więc widocznie nie chciał, aby tak było. Takie swobodne posługiwanie się korespondencją poufną wbrew intencji autora nie wydaje mi się rzeczą właściwą.

Wreszcie trzeba dodać słowo o ilustracji muzycznej bardzo dyskretnej, szlachetnej i nie macającej w niczym muzyki wiersza.

W sumie biorąc „Balladyna“ tak jakżeśmy ją widzieli teraz w teatrze imienia jej twórcy, jest pozycją poważną, zajmującą miejsce poczesne w szeregu jej wznowień.

Alina Świdarska

Film

„CZTERY POKOLENIA“, FILM PRODUKCJI NIEMIECKIEJ

Tematem filmu jest narastanie świadomości politycznej u proletariatu niemieckiego. Miejscem akcji jest Berlin.

Wprowadzony na początku filmu bezimienny narrator wyjaśnia, że ujrzymy dzieje 4 pokoleń pewnej rodziny i szkicuje genealogię. Słowa „było to w 1833 r. wprowadzają już we właściwą akcję. Słowa te powtarzają się w zakończeniu filmu i wtedy dopiero określona zostaje osoba narratora. Dopiero owo zakończenie wyjaśnia, że film jest pomyslanym jako opowiadanie babki Augusty.

Budowa samego opowiadania opiera się na ciągłości chronologicznej. Centralną postacią filmu jest Augusta. Jej punkt widzenia jest zachowany i w interpretacji wydarzeń i osób.

Przababkę, matkę, ciotki, srodziska mieszczańskie widzimy tak, jak je widziała narratorka. Postacie bliskie Augusty są pełniejsze i poznajemy je intymniej, dalsze znamy z charakterystycznych ostro naszkicowanych rysów. Obie jej ciotki gubimy w okresie kiedy Augusta traci z nimi kontakt, ale mimo to w chwili ponownego spotkania scenarzysta precyzyjnie buduje tak sytuację i dialogi, że lukę życia Emmy

od dzieciństwa do jej oportunistycznej dojrzałości wypełnia się bez trudu, a jej drobno mieszczańskimi styl życia interpretujemy bez zdziwienia.

Scenariusz trafnie rozkłada zawartość treściową tak aby wszystko było jasne i wyraziste. Przy pokoleniowej strukturze opowiadania dobrze świadczy o rzemiośle scenarzysty umiejętność takiego rozlokowania materiału, aby nie przecięć możliwości skupienia uwagi odbiorcy. Scenariusz jednak przy jasnych założeniach ideologicznych ma zasadniczą wadę, nieproporcjonalność podjętej problematyki do wybranej jednostkowej fabuły. Scenarzysta nie mógł należeć do podkreślenia obyczajowe ustawałi krąg rodziny Augusty w kontekście środowiskowym, wprowadzali sceny zbiorowe, nie zdecydowali się jednak wyjść poza problematykę typowych, ale jednostronnych przemian tam, gdzie chodziło o zagadnienia polityczne - społeczne. Ślad odcienienia epoki a raczej epok wychodzi niejasno.

Uderzające wydaje się, że scenariusz ujmując problematykę polityczną - społeczną prawie wyłącznie przez media kobiet. Stworzyło to pewne ułatwienie, bowiem przemiany ide-

TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY TYDZIEŃ KULTURALNY

owe Augusty uwarunkowane uczuciowo, pozwoliły na wprowadzenie bez demagogii wielkiej dosadności i prostoty sądów, niemniej jednak dzieje i jej samej i jej ciotek wyrażają bardzo jednostronnie przemiany i przeżycia środowisk robotniczych w tej epoce w Niemczech.

Radykalna, ale intuicyjna i w zasadzie bierna postawa Augusty ma uzupełnienie jedynie w przeciwstawieniu świata domowego, konsekwentnego działania jej męża pravicowego socjalisty. Realizatorzy nie zawahali się pokazać bankructwa tego stanowiska, dramatu jego klęski, niemniej zatrzymali się w połowie drogi nie wskazując, tego nurtu który reprezentował słuszną postawę.

Wydaje się że brak szerszego tła epickiego, brak obrazu epoki bez niedomówień i charakter „mieszczakańskiego dramatu” — oto najważniejsze błędy scenariusza. Szczególnie te 3 wady uderzają w tej części która interpretuje okres hitlerowski. Wojnę wyrażają 2 sceny: licytacja w domu Lewina i bombardowanie. Mówi się o głodnych polskich dzieciach a w czasie międzywojennym o bezrobociu. Na przykładzie doktora, Emmy i syna Augusty jest jako pokazany oportunizm, ale to wszystko jest takie blade i nieokreślone.

Poza Augustą której bunt jest osobisty wszyscy pokazani bohaterowie filmu zajmują postawę drobnomieszczańskiej apolityczności żyjąc w kręgu własnych małych spaw. Nie dostrzegamy nawet tych których pociągnęła demagogia faszyzmu.

Wydaje się że „kameralny” w koncepcji (mimo wielkiej rozciągłości czasowej i szerokiej problematyki) i zbyt płynnie udratyzowany scenariusz, nie tylko ze względu na samą konstrukcję dramatyczną ale

i na nieproporcjonalność pokazanych przeżyć do patosu i napięcia znanego z doświadczenia tragedii przedmierze został uzupełniony doskonałą reżyserią i interpretacją wykonawców. W filmie widać dążność do zastąpienia usuniętych z niego konkretów epoki symbolami, uogólnieniami, takimi jak np. swastyka znaczenia, tak jak np. swastyka na niebie w czasie zabawy ludowej, czy śpiew piosenki hitlerowskiej. Także motyw pościeli w kratkę jakoś wyrażają drobnomieszczańską problematykę życia pewnej części proletariatu, (tej usuniętej poza walkę i świadomość politycznego dojrzewania) z której Augusta szyje sukienkę swojej wnuczce ma pewną wymowę, niemniej jednak nie uszuwa niedomówień scenariusza.

Wielka satysfakcję sprawia w tym filmie doskonały, płynny i bardzo inteligentny montaż. W skrótach pierwszej części filmu (znacznie lepszej od drugiej), przejścia poszczególnych epizodów są nie tylko jasne ale mają wielką wymowę uczuciową jak chociażby to z nóg 2 idących w kościele kobiet na maszynę do szycia itp.

Zaletą filmu jest doskonale psychologiczne przemyślenie i interpretacja każdego epizodu. Jakże wymowne jest chociażby przywitanie Augusty z mężem i jej spóźniona reakcja wzruszeniowa.

Należy jeszcze stwierdzić że usprawiedliwieniem dla scenarzystów że nie pokazali owego nurtu świadomej walki jest to że ograniczyli się do wybrania tej części proletariatu która kształtowała się w kręgu kontaktów ze środowiskiem mieszczańskim, a pominięto całkowicie właściwe środowisko proletariatu robotniczego, fabrycznego.

Leszcz.

O KATOLICKIEJ KRYTYCE FILMOWEJ

(Przedrukujemy tu interesujący artykuł pióra M. T. Vasile pt. „Apport culturel du critique” z książki pt. „Les catholiques parlent du Cinema”.)

Większa część dzienników i miesięczników rozwija się zagadnienie krytyki filmowej w ten sposób, że umieszcza bardzo subiektywne sprawozdania z nowych filmów.

Często wyczerpuje ten dział zwykła rejestracja bez żadnego pogłębienia wrażeń. Nie można liczyć na kulturalny wpływ dzienników w tej dziedzinie, jeśli ten wpływ będzie polegał na bezpośredniości aktualności i nie będzie miał ambicji tworzenia rzeczy trwałych i wypracowania konkretnie działającego narzędzia krytyki. Rzadkie wyjątki potwierdzają tylko regułę.

Otóż prawdziwa funkcja celowej krytyki polega na ujawnieniu zawartości i adresu, mniej lub więcej świadomie wbudowanego w każdym filmie; w uprzedzeniu tego czytelnikom oraz w przyczynieniu się do głębszego poznania ewolucji środków ekspresji filmowej.

W tym co dotyczy pierwszego z tych zadań należy sprzeciwiać, że każdy nawet najbardziej banalny film zawiera jakąś interpretację realnie istniejącego świata, interpretację wyrażoną przy pomocy bardzo sugestywnej wymowy ożywionego obrazu.

Nie twierdzę tutaj, że sztu-

ka musi być przedstawieniem bezpośrednim rzeczywistości zmysłowo postrzegalnej, twierdząc natomiast, że opiera się na odczuciu rzeczywistości takiej jak przedstawia się ona umysłowi.

To zagadnienie szczególnie we Włoszech było dokładnie rozważane przez Diego Fabri w ramach jego badań nad metodami krytyki filmowej i teatralnej. Nie chce wchodzić w szczegóły polemiki nieużytecznej w tym momencie dla nas, nad zagadnieniem treści i formy przycinając ją stwierdzeniem, że właśnie duchowa i moralna wartość treści jej dojrzałość i uniwersalność determinuje formę artystyczną.

Krytyka jeśli chce uczestniczyć w rozwoju intelektualnym i kulturalnym ludzkości musi moim zdaniem rozróżniać wyraźnie w dziele filmowym elementy przejściowe przyporządkowane obyczajom i upodobaniom momentu historycznego od tych głęboko ludzkich, a więc uniwersalnych.

By wypełnić tę rolę krytyka musi zająć inną pozycję w prasie aniżeli ta którą teraz zajmuje, musi wypracować swój system, swoją metodologię, swoją filozofię niemal.

W tym co dotyczy drugiego zadania krytyki, a mianowicie poznania rozwoju i wartości języka filmowego rola krytyki jest nie tylko estetyczna, lecz także historyczna.

Powinno się wierzyć krytykowi piszącemu o historii rozwoju środków ekspresji filmowej. Musi on podkreślać rolę dzieł, które są zdolne do

przewyciężenia próby czasu, klasyfikować i rozpatrywać je jako dzieła sztuki.

Przy pomocy badań historycznych musi on odkrywać wewnętrzne prawa języka filmowego i studiować rozwój środków technicznych.

Owe badania historyczno-estetyczne powinny pomagać także w stworzeniu systemu, metodologii i filozofii, nie mogą one bowiem być arbitralne

i abstrakcyjne, ale muszą wynikać z historii filmu.

My katolicy musimy się specjalizować w tej trudnej i delikatnej dziedzinie i to specjalizować się inteligentnie i z najpoważniejszym wysiłkiem.

Każde nasze osiągnięcie będzie miało duże znaczenie, nie tylko z racji roli którą może spełnić nasz własny wkład, ale i ze względu na bezpośrednie znaczenie filmu dla nas.

Z PRASY JAPOŃSKIEJ

Tass donosi z Szang-haju w ślad za japońską gazetą „Sinbunka”, że ze sztabu gen. Mac - Arthura zwrócono się do jednego z największych dzienników burżuazyjnych tamtejszych „Asahi”, z żądaniem „zmiany kursu politycznego” tego pisma. Zapowiedziano, że

jeżeli w dalszym ciągu gazeta nie będzie we „właściwy” sposób naświetlała współpracy czynników japońskich z władzami okupacyjnymi, to spotkać ją może ten sam los co i pismo „Akhata”. Akhata, organ japońskiej partii komunistycznej, zostało zawieszona przez władze okupacyjne.

CHIŃSKA WYTWÓRNIA FILMÓW

Czan-czun to miasto położone w Mandżurii o 200 km na południe od Charbinu. Podróżni znają je szczególnie z tego, że jest to stacja węzłowa między kończącą się tutaj bocznica kolei syberyjskiej, a zaczynającymi się dawnymi koncesjami japońskimi w Mandżurii i zbudowaną przez Japończyków koleją dającą połączenie na Mukden, Port-Artur i Koreę.

W ostatnich czasach miasto to zakwitło nowym życiem. Na jednym z jego dalszych przedmieść powstało duże studium kinematograficzne, jedno z największych w Chinach, a więc i na Dalekim Wschodzie Azjatyckim. Otoczone zielenią ogrodów, (Czan-czun znaczy dosłownie: wiosna idzie), wznosi się duże gmachy sal operacyjnych, a dalej domy mieszkalne zatrudnionych tam pracowników.

Studium ma już duże zna-

czenie, mimo że nie jest jeszcze całkowicie wykończona. Może ono — nie licząc w tym dublowania filmów obcojęzycznych na język chiński, — wytwarzać rocznie 13 pełnometrażowych filmów. W sześciu wielkich pawilonach mieści się osiem przestronnych sal, a prócz tego obszerne pomieszczenia laboratoriów. Pomimo braków, jakie jeszcze istnieją (nieskompletowana aparatura, przede wszystkim dźwiękowa), w studium wre prace. Zatrudniony tu personel liczy blisko 1000 osób, pośród których przeważa młodzież.

Z projektowanych w roku bieżącym trzynastu filmów — dwa już są wykonane, a pięć jest w robocie. Tematem ich jest głównie walka wyzwolenia ludu chińskiego.

Przekłady filmów, szczególnie rosyjskich na język chiński, robi się głównie w narzeczonej kina, które jest najbardziej rozpowszechnione na terenie Chin.

Zagranica

NAJSTARSZY TEATR ROSYJSKI

1-go września teatr im. F. Wołkowa, rozpoczyna w Moskwie swe gościnne występy.

Jest to najstarszy teatr rosyjski, który w bieżącym roku w lipcu, obchodzi 200-letnią rocznicę swego istnienia.

Wszecchrosyjski Związek Teatrów wydelegował do Jarosławia grupę pracowników i krytyków moskiewskich teatrów.

KONKURS ARCHITEKTONICZNY

Urząd dla spraw architektury przy Armiejskiej Radzie Ministrów w Erywaniu, ogłosił konkurs architektoniczny na plan budynku mieszkalne-

go lub użyteczności publicznej. Pierwszą nagrodę otrzymał projekt domu mieszkalnego drugą projekt gmachu instytutu fizycznego miejscowej Akademii Nauk, wreszcie trzecią — projekt bazy filmowej w Erywaniu.

NOWE WYŻSZE ZAKŁADY NAUKOWE W ZSRR

W szeregu większych miast ZSRR organizuje się na najbliższy rok szkolny, nowe, wyższe zakłady naukowe. I tak w Rydze otwarty zostanie Instytut medyczny wyposażony w trzy fakultety. Instytut medyczny, znajdujący się dotychczas w Moskwie, zostaje przeniesiony do Rjazania, jako Instytut imienia J. P.

PAMIĘTNIKI ADMIRAŁA LEAHY'EGO

Na półkach księgarskich całego świata jest już wiele książek będących pamiętnikami z okresu lat drugiej wojny światowej. Ostatnio opublikował swoje wspomnienia b. szef sztabu osobistego Prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Roosevelta, i jeden z jego najbliższych doradców, admirał William D. Leahy. Książka wydana przez niego zatytułowana jest „I was there” (Byłem tam). Cechą najbardziej charakterystyczną jego poglądów, wyrażonych w tej książce, jest również silny brak zaufania do Sojuszników Stanów Zjednoczonych, jak nienawiść do Niemców i Japończyków. Najlepiej ilustruje to taki cytat: „Największą naszą trudnością jest — pisze adm. Leahy — iż musimy dostarczać naszym ludzi, okrętów i broni aby podtrzymać Sojuszników, którzy bez tego byłiby wszyscy, za wyjątkiem jednej Rosji, niezgodni do przetrzymania naciśku wojny.”

Jego sceptycyzm i goręcy równowagi nadmierny i niekiedy niebezpieczny entuzjazm jego kolegów. Krytycyzm adm. Leahy'ego, powszechnie znany w kołach sojusznicznych, graniczył ze zjadliwością. Sławnym było jego powiedzenie o armii francuskiej, iż „ta wspaniała armia była jedynie użyteczna w nogach, gdyż kiedy wycofywała się do biegniem.”

Pawłowa. W Błagowieszczeńsku powstaje nowy Instytut gospodarstwa wiejskiego. Tej jesieni rozpoczyna się również prace w nowo - powstających instytutach pedagogicznych we Włodzimierzu i w Oirechowo-Zujewie. W Smoleńsku i Omsku organizuje się Instytut kultury fizycznej. Prócz powyższych w rozmaitych miastach powstają dodatkowe nowe fakultety i oddziały na wyższych uczelniach.

Głęboki brak zaufania do Wielkiej Brytanii jest ciągle powtarzającym się i głównym motywem pamiętników adm. Leahy'ego. Pisze on: „Brytyjczycy używali całej swojej energii wyłącznie dla zabezpieczenia interesów Imperium”. Specjalnie zarzucał on ówczesnemu premierowi brytyjskiemu Churchillowi, iż „na on więcej na oku odbudowę pozycji Wielkiej Brytanii w Europie niż zachowanie tam pokoju.” Adm. Leahy był, z ramienia Prezydenta Roosevelta, przewodniczącym obrad amerykańskich szefów sztabów armii, floty i lotnictwa. Na tym stanowisku współpracował blisko ze sztabem brytyjskim. W 1942 roku notuje: „Znaczna część członków rządu brytyjskiego traktuje wciąż basen morza Śródziemnego, jako wyłączną domenę wpływów brytyjskich i jest głęboko nie-szczęśliwa widząc, jak Stany Zjednoczone obejmują decydującą rolę na tym obszarze.”

Admirał Leahy doceniał znaczenie militarne i siły oporu przeciwko agresji niemieckiej Związku Radzieckiego i stał na stanowisku, że właściwie wszystkie zagadnienia polityki świata towej mogą i winny być decydowane wspólnym porozumieniem dwóch mocarstw: Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

Jeśli weźmiemy to wszystko cośmy powyżej zacytowali, pod uwagę, to nie zdziwi nas chłodne i nader krytyczne przyjęcie jakiego doznały pamiętniki adm. Leahy'ego w Wielkiej Brytanii.

80 lat Belloc'a i jego dawna podróż do Rzymu.

Jednym z najciekawszych opowiadań o pielgrzymce do Rzymu jest książka Hilarego Belloc'a wydana w Londynie w 1902 roku pt. „Path to Rome”.

Hilary Belloc urodził się w Paryżu niedaleko od Saint Cloud z ojca Francuza, matki Angielki, w r. 1870. Kończył więc niedługo 80 lat. Stracił ojca kiedy był dzieckiem i powrócił do Anglii z matką. Kształcił się tam u Oratorianów a następnie studiował historię w Oxfordzie z wielkim powodzeniem, przez rok był żołnierzem we Francji, potem powrócił do Anglii i przyjął obywatelstwo angielskie. Dotąd ma „na sumieniu” sto tomów, nie wiadomo ile tysięcy artykułów, podróże morskie i lądowe, liczne polemiki, niezliczone aforyzmy, służbę dziennikarską, przede wszystkim na temat pierwszej wojny światowej, poważne memoranda o historii i polityce fragmenty literacyjne jak i ironiczne, wiersze (trochę w staroświeckim stylu).

Młodzi literaci uważają go za naiwnego i pod każdym względem przekwitłego, nikt jednak nie zaprzeczy wartości jego prozie, pełnej treści i delikatności, szwarców i elegancji. Miłe są jego opowiadania, które spacerują pozornie bez celu, bez tytułu, bez tematu, a których jest cztery lub pięć serii.

Mając lat 30 Belloc przedsięwziął pielgrzymkę do Rzymu. Pewnego wieczoru w pierwszych dniach czerwca wyszedł z postanowieniem przybycia do Rzymu w linii możliwie najprostszej, nie używając żadnego środka komunikacji na kołach, aby wysłuchać Mszy św. w Bazylice św. Piotra i Pawła w dniu 29 czerwca. Wyszedł z Toul, przebył dolinę górnej Mozeli, zawadził o Epinal, Alzacje, Belfort, a na stronie 110 swej książki przechodzi granicę Szwajcarii. Przybywa do Solothurn, mija jezioro - Brienz, - idzie przez

Grimsel, Airole, Falda, Lugano, Chiasso, by wreszcie przeciąć granicę włoską na str. 246 swego tomu. Z Como osiąga (niestety w pociągu) Mediolan, skąd znowu pieszo przez Lodi, i Pienza, Foronovo, Gartagnana, Lucca, Badicofani, Ponciglione przybywa do mostu Milavio i wreszcie do Porta del Popolo. Podróż była przygodą dla chrześcijanina poety. W francuskiej części swojej podróży Belloc opisywał jeszcze obrazy, gdzie stylista doszedł do granic najwyższych swego talentu epickiego. Najbardziej wypadła część włoska i to się rozumie: Belloc jest przepojony duchem angielskim i francuskim. Niemcy mu nie nie powiedziały, ani Hiszpania, ani także Włochy. Ale zachwyliło go miasto Dotym. Stąd rodzi się dziwna piękność tej pielgrzymki: Belloc jest oczarowany świadkiem Rzymu katolickiego.

Ta piękna pielgrzymka pełna ożywienia zasługiwała na wspomnienie nie tyle aby uczcić wielkiego pisarza w 80 roku jego życia, ile dać świadectwo uniwersalizmu katolickiego. Jedną z cech tego dziennika podróży jest stała interwencja czytelnika. Pod koniec książki czytelnik zapytuje: Nie chcesz nic powiedzieć o Rzymie? Nic drogi czytelniku odpowiadaj Belloc. Czytelnik napiera: Powiedz mi przynajmniej jedną rzecz czy widziasz Colosseum. Belloc nie zwraca na to uwagi, patrzy natomiast na swoje buty, na kij i zaczyna śpiewać (jak to nazywa) dytyramb na cześć swej podróży heroicznej.

Warto tu przypomnieć list Belloc'a do Giuseppe Giacosa: Przypominam sobie, że pewnego razu w małym hotelu na zboczach Monte Rosa spotkałem człowieka całego posiniaczanego i podrapanego, który przebył wszystkie doliny i tańcuchy górskie idąc z Rosa. Mówił o swej bardzo uciążliwej imprezie, z wielkim podziwem dla niej i w końcu zawołał: Lecz najpiękniejszy widok na Monte Rosa jest z katedry w Mediolanie.

Giuseppe de Luca

W czerwcowym numerze „Esprit” zamieszczony jest plan szeroko zakrojonej ankiety na temat malarstwa pt. „Realizm i rzeczywistość” („Realisme et realite”).

Wśród szeregu pytań, jakie postawiła ankieta, znalazło się wiele palących problemów plastyki zachodniej. Przede wszystkim dano tam wyraz niepokojom wobec „kryzysu rzeczywistości” w sztuce i związanego z tym rozdźwięku między artystą a odbiorcą. Materiał ankiety został opracowany przez Emila Bourniquel. Dla ułatwienia orientacji i uprzyświecenia materiału zostały przytoczone tylko zasadnicze części wypowiedzi. Całość jest podzielona na rozdziały, odpowiadające różnym postawom zajmowanym przez uczestników ankiety wobec problemu sztuki.

Pierwszą grupę wypowiedzi zacytowano: „Obrona wartości tradycyjnych”. Znajdujemy tu przede wszystkim wypowiedź malarza Henri de Waroquier. Jest on zdania, że cały głośny i zajadły spór między malarstwem przedstawiającym a malarstwem abstrakcyjnym polega na nieporozumieniu, gdyż obie te tendencje są nieporównywalne i mogą istnieć obok siebie. Własną swoją drogę artystyczną określa jako postawę „reakcyjną” — najpierw wobec impresjonizmu, następnie wobec kubizmu. Jego natura — mówi autor — kazała mu walczyć o elementy, które zaniedbywała każda z tych doktryn artystycznych. W obecnej chwili Waroquier uważa za konieczne skierować wysiłki w kierunku poszukiwania syntezy dorobku malarstwa ostatnich dziesięciu lat. Kubizm — powiada Waroquier — zniechęca do wypełnienia go treścią. Surrealizm, jako reakcja przeciwko kubizmowi, jest natomiast na pierwszym rozrostem poezji kosztowności wartości plastycznych w malarstwie. Zadanie przyszłego malarstwa ma polegać, zdaniem Henryka

de Waroquier, na stopieniu tych różnorodnych elementów w jedną syntezę.

W wypowiedzi zakwalifikowanej jako „obrona wartości tradycyjnych” mają tę wspólną cechę, że wszystkie unikają jakichś zdecydowanych, przesadzających twierdzeń. Kubizm i kierunki pokrewne są traktowane przez autorów jako zjawiska zrozumiałe, a nawet charakterystyczne dla współczesnej cywilizacji. Nie wiążą oni jednak z nimi nadziei na przyszłość malarstwa. Oczekują raczej, że sztuka współczesna zdobędzie się na podsumowanie wyników i wyciągnięcie wniosków pozytywnych z dorobku całego ostatniego półwiecza.

Rzecz znamienna, że wszyscy autorzy pod pojęciem „tradycji” malarzkiej rozumieją zarówno dorobek wielkich okresów malarstwa minionych wieków, jak również zespół wszystkich „izmów”, które począwszy od impresjonizmu, z taką szybkością nas powalały po sobie.

Drugi rozdział ma tytuł: „Sztuka abstrakcyjna”. Obrońcy jej są niejako w defenzywie. Najczęściej przypominają oni znane dobrze argumenty; przede wszystkim postulaty uwolnienia malarstwa od anegdoty i literatury. Doktryna abstrakcjonistów wiąże się w sposób jawny lub ukryty, z idealizmem filozoficznym. Znamienna jest tu tendencja, którą w swoim czasie wygłosił Kandinsky, mówiąc o „otwarciu „ducha przedmiotu” zamiast „bytu przedmiotu”. Abstrakcjonizm w malarstwie stanowi wielki wysiłek, w kierunku oczyszczenia sztuki od tego, co abstrakcjonisci uważają za naleciałości i obciążenia ciągnące się od wieków. Równocześnie jednak doktrynerskie i zacieśnione spojrzenie wprowadza często ten wysiłek na tory absurdu.

„Obrona realizmu” — to temat trzeciego rozdziału ankiety.

Jak wiadomo wśród zwolenników realizmu silną pozycję mają teoretycy soc-realistu. Awangarda sztuki — twierdzą oni — nie może się oddalać od awangardy ludzkości, jaką stanowi klasa robotnicza. Sztuka przede wszystkim musi być zdolna do wyrażania nadziei i walki proletariatu.

W ankiecie znalazły się również wypowiedzi polemizujące ze stanowiskiem socrealizmu, albo też wysuwające postulat realizmu pojmany inaczej niż przez socrealistów, wiązany z różnymi formami indywidualizmu. Przypominane jest hasło: „przekształcać bez ytwarzania, oczyszczać bez zubożania”. Między innymi czytamy wypowiedź młodego malarza Jean Héllion, który przeszedł przez fazę skrajnego abstrakcjonizmu i znajduje się obecnie w obozie szeroko pojętego realizmu.

SPROSTOWANIE

Do wiersza p. Krystyny Konarskiej *Łosiowej* zaczynającego się od słów „Podnoszę ręce w obronie pokoju” zakradł się przykry błąd, który niniejszym prostujemy. Otóż w drugiej zwrotce w wierszu drugim od dołu winno być „przed walącymi się belkami” a nie „balkonami”, jak zostało wydrukowane. Korzystamy ze sposobności, żeby tą drogą przeprosić Autorkę za mimowolne okaleczenie Jej utworu.

RED.

Co piszą inni...

Ankieta o malarstwie

Przedstawiaj drogę swojej ewolucji zwraca on uwagę na charakterystyczną dla psychiki współczesnego człowieka niechęć do wszystkiego, co mgliste i aluzyjne. Héllion pisze: Przedstawiając świat można w nim wyrazić, a raczej odkryć treści abstrakcyjne. Nie można natomiast w abstrakcyjnej sztuce wyrazić świata.

Dalszym problemem ankiety jest „poszukiwanie rzeczywistości i tendencji”. Zmiany polskiej publiczności z wystawy młodej sztuki francuskiej — Leon Gischia dopatruje się w „ego” i źródeł sztuki poza interpretowaniem istniejącej rzeczywistości. W jego przekonaniu — sztuka jest „rzeczywistością wyimaginowaną”, jest terenem nieustającej walki między formami nowymi a formami już gotowymi. Skłonność naszej epoki do sztuki „oryginalnej”,

do szukania nowych form i nowych środków wyrazu, nie może być uznana za przypadek albo mistyfikację, — twierdzi Gischia — ale, z uwagi na jej uporczywość, trzeba w niej widzieć konieczność narzuconą przez „moment rozwoju cywilizacji”.

Co do rozdźwięku między artystą a odbiorcą, — to niektórzy uczestnicy ankiety pokładają nadzieję w — czasie. Inni widzą ten kryzys w barwach bardziej dramatycznych.

Warto wspomnieć jeszcze o wypowiedzi artysty André Frénard. I on również przywiązuje dużą wagę do metafizycznego sensu poszukiwań artystycznych. Sztuka jest bowiem — używając jego, własnych słów — bodźcem i zaproszeniem do pogłębiania się. Frénard uważa, że artysta, będąc najściślej związany ze społeczeństwem, równocześnie musi być

jednak w pewnym sensie od niego odosobniony — dla indywidualnego porachunku ze światem, ze zgiebianą tajemnicą rzeczywistości. „Niewątpliwie — pisze on — sztuka ma podwójną funkcję. Pomaga nam w tym życiu ale także przypomina nam, — mamy inną — — nawet jeśli się sądzi że ta odczytuje tkwi nie gdzie indziej, jak w sercu samego świata”.

Ogólnie powiedzieć można, że pokłosie ankiety zawierało wiele interesujących momentów, ale nie doprowadziło na ogół do sprecyzowanych wniosków, które by miały ambicją zainaugurowania programu mającego wyleczyć plastykę zachodnią. Na wielu wypowiedziach znać rozkładowy wpływ idealistycznego indywidualizmu, który wywołuje zacieśnienie problematyki. Na próżno byśmy szukali w materiale ankiety odpowiedzi na te problemy stojące w tej chwili przed nami, przed naszą kulturą, naszą sztuką.

A. K.

Płacz ukochany kraju

(dokończenie ze str. 9)

— Dzień dobry, umfundisi. — odparł, pomocnik.

— Gdzie jest młody, biały człowiek?

— W mieście. Wyszedł przed chwilą.

— Czy policja była tu?

— Była. Poszli przed chwilą.

— Czego chcieli?

— Szukali chłopca, Absoloma Kumala, syna tego staruszka, który siedzi tam w taksówce.

— Za co poszukują?

— Nie wiem. Miałem coś innego do zrobienia i wyszedłem akurat z pokoju, kiedy rozmawiali z białym człowiekiem.

— Nie wiesz więc, czego chcieli?

— Naprawdę nie wiem, umfundisi.

Msimangu milezał.

— Czy to coś poważnego? — spytał wreszcie.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia.

A czy młody biały człowiek...

czy on wyglądał na zmartwionego?

— Owszem.

— Skąd wiesz?

Pomocnik uśmiechnął się. — Znam go — odparł.

— I dokąd pojechali?

— Do Pimwille, umfundisi. Do mieszkania dziewczyny.

— Przed chwilą, powiedziałaś?

— Tak przed chwilą.

— Pojedziemy więc, Do widzenia. Powiedz białemu panu, że byliśmy tu.

— Do widzenia, umfundisi. Powiem mu.

— Moje dziecko!

— Umfundisi.

— Czy policja była tutaj?

— Tak, byli tu właśnie przed chwilą.

— I czego chcieli?

— Szukali Absoloma, umfundisi.

— I cóż im powiedziałaś?

— Powiedziałam, że nie wiedziałam go od soboty, umfundisi.

— Czego oni chcą od niego? — wybuchnął boleśnie Kumalo.

Dziewczyna cofnęła się w przestachu. — Nie wiem. — odparła.

— Dlaczego nie zapytałaś? — krzyknął.

— Lży błysnęły w jej oczach. — Bałam się — odrzekła.

— Czy nikt nie zapytał o to?

Kobiety, kręciły się tu. Może

któraś z nich zapytała.

— Jakie kobiety? — spytał Msimangu. — Pokaż nam je.

Wskazała im te kobiety, lecz one nie wiele wiedziały.

— Nie chcieli mi powiedzieć. — odpowiedziała jedna z zapytanych.

Msimangu zwrócił się do niej w zaufaniu. — Czy wyglądało na coś poważnego? — spytał.

— Bardzo poważnego, umfundisi.

A co się stało? — spytała.

— Nie wiemy.

— Świat jest pełen nieszczęść. — rzekła.

Poszedł do taksówki, a Kumalo za nim. Dziewczyna wybiegła za nimi krokiem ciężarnej kobiety.

— Kazali się zawiadomić, kiedy on powróci.

Wyraz jej oczu był pełen smutku. — Co mam zrobić? — spytała.

— Musisz zrobić to co ci kazali. — rzekł Msimangu. — Nas także zawiadomisz. Zaczekaj, musisz iść jeszcze do biura komisarza i poprosić go, aby zatelefonował do mnie do Domu Misyjnego w Sophiatown. Masz tu numer. 49-3041.

— Dobrze, umfundisi.

— Powiedz mi jeszcze, czy policjan ci mówili, dokąd teraz pójdą?

— Nie mówili, umfundisi. Słysza-

łam tylko jak jeden powiedział, że

die spoor loop dood. Ślad się kończy.

— Zostań z Bogiem, moje dziecko.

— Idź z Bogiem, umfundisi.

Obróciła się, by pożegnać również

tego drugiego, siedział on już jednak

w taksówce, wsparty smutnie na la-

see.

— Ile się należy przyjacielu —

pyta Msimangu.

— Dwa funty, dziesięć szylingów,

umfundisi.

Kumalo siega drżącą ręką po portfel.

— Chciałbym pomóc ci w tym —

mówi Msimangu. Sprawiliby mi to

przyjemność.

— Dobry dla mnie jesteś przyja-

cielu, — mówi Kumalo drżącym głosem —

lecz nikt, tylko ja powinienem

placić — i wyciąga banknoty

z wciąż malejącego zapasu.

— Ty drżysz, przyjacielu.

— Zimno mi. Bardzo zimno.

Msimangu podnosi wzrok na bez-

chmurne niebo, z którego na ziemię

splývają gorące potoki afrykańskie-

go słońca.

— Chodź do mego pokoju — rze-

cze. — Zapalimy ogień i nagrzejesz

się.

tłum. R. J. Zatorski

UKAZAŁA SIĘ KSIĄŻKA

DLA DZIECI

SP. WYDAWNICZA PAX.

PRZGODY GUCIA

PINGWINA

ALEKSANDRA RYMKIEWICZA

ilustrował W. BUCZA cena 430 zł.